

O czym mówiono na Wojewódzkiej Konferencji PZPR w Lublinie

- str. 2

Inż. Andrzej Męciński o polityce i sporcie - str. 3

Miłosz za sześć „paczek” - str. 5,9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kamena



NR 4 (771)

12 - 26 lutego 1983

CENA 10 ZŁ

BIZNES Pani Ireny

Michał Rey

Z GARBIONA staruszka nie myśli o jutrze. Ona ma do wykonania konkretne zadanie. Polega ono na tym, że o godzinie 4.00 musi zająć kolejkę pod drzwiami sklepu obuwniczego zwanego w Lublinie „Chelmkim”. Dostawa nastąpi dziś z całą pewnością, czyli — jak dobrze pójdzie — już około południa będzie po wszystkim. Do domu powinna dojechać przed pierwszą. Akurat żeby zdążyć odgrzać obiad dla męża i siebie. Po obiedzie uda się do Pani Ireny, odda buty, kartkę na buty i resztę z trzech tysięcy, które otrzymała, a otrzyma — złotych czterysta. Te czterysta za to, że właśnie wystąpiła. O butach wie, że mają być na wysokim obcasie, wiśniowe, albo czarne, numer 24, czyli po „naszemu” czwórka. Precyzyjniej — mają to być członka. A zgarbiona staruszka ma siedemdziesiąt trzy lata i nazywa się Adela Domańczuk.

Mietek Jaskółta, zwany „Ptalem” (bo i jak inaczej przy takim nazwisku?), ma o czterdzieści lat mniej od babci Domańczukowej, ma żonę i trójkę dzieciaków, ma... I tu się zaczyna kłopot z tą wyleżanką aktywów. No więc, na pewno podstawówka i półtorej klasy zawodówki mechanicznej przy ulicy Długosza. Wojsko, a jakże. Odsłużył dokładnie 882 dni. Wynikiem tym chwali się do

dziś, bo jest to o pięć „miechów” dłużej niż ustawowe dwa lata.

Poza tym Mietek pracował w dziewiętnastu firmach, siedział w trzech kryminalach, a ostatnio, jak zaczęli gadać o „niebieskich ptakach” i straszyc, to poszedł i się zatrudnił w prywatnym warsztacie samochodowym. Niedokładnie. Ma w papierach, że robi i święty spokój, a od roboty to — jak wiadomo — jest traktor. Ile „Ptala” kosztuje „zatrudnienie”, to już jego sprawa, i pytać nie warto, bo nie powie. W każdym razie nie narzeka. Na jutro Mietek ma do załatwienia sprawę prostą. Jest do kupienia „Encyklopedia Powszechna” za 1800 złotych. Wiadomo, że będzie na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Chopina. Trzeba być jakieś trzy godziny wcześniej. Dostał od Pani Ireny dwa trzysta, czyli „guma” wyniesie pięćset. Z tym, że pewnie trochę lepiej, bo „Ptal” ma zamiar wpuścić do kolejki za siebie kumpla i wtedy ta druga książka pójdzie do ludzi, ale z przebiegiem trzykrotnym.

— To policzmy — proponuje. — 5500 minus 1800 daje 3700. Na dwóch wychodzi po 1850, a ja jeszcze mam te pięć stów. Razem 2350 za trzy godziny. A pan ile wyciąga?

Dokończenie na str. 8—9

BONY NA MIĘSO, BONY NA CUKIER SPRZEDAJĘ!

Królowa Bona

SZ. SABURSKI '82

Bys. Szczepan Sadurski

N OC nadciągała jak żalobny kondukt wyciszający świat wobec zdarzeń ostatecznych. Autobus miał jakieś obojętne miejscowości. Jeszcze podrygi światła za olchami, ostatnie wzdrygnięcie złotych piętami nieboszczyka. Musiały to być olchy, gdyż rosły nad wodą.

— Czy możliwe, żeby ponury dzień kończył się zorzą? — zapytałam dla poratowania rozmowy, a poeta przygryzł uśmiech, po czym ugiął palcami wąsy.

— Jutro dzień zacznie się od ostrzeżenia noży — powiedział jakby nie a propos, głosem przeznaczonym do karcenia dzieci. — Świat będzie szary, zimny i bezwzględny. Wypchnęli nas jak parę idiotów — zauważył również rzeczowo. — Po co my tam właściwie...

Ale jechaliśmy. Są ludzie, których zawsze łatwiej... — Chociaż widziałeś świniobicie? — zapytałam poetę, który pochodził ze wsi i znał się na świninach prawie jak na ludziach.

— Ręki do tego nie przyłożył! Lamaga, jak ja, najwyżej nosi wodę. Woda oczywiście od dawna parkocze w parniku — zdecydował się mówić — Potem się czeka, noże gotowe, a Cwiczek się spóźnia. Znowu się spóźnia,

mówi matka. Woda stygnie. Wreszcie Cwiczek przychodzi...

— Cwiczek? — spytałam, bo szum autobusu — facet od zabijania?

— Cwiczek, tak się nazywa. Raz nie trafił. Pukł świnie i im się wyrwała. Jak pijana uciekała, złapał, pukł mocno i nożem zaraz. Cała miednica krwi. Potem skrobanie świnie i czyszczenie kiszki patykami. Następnie widzi się świnie pod postacią pościeli.

— Czego? — Polci. Polcie — przekrzykiwał poeta silnik autobusu. — Połówka, pół litra, pułkownik...

Zrozumiałam i przeszliśmy do picia, bo porządny rzeźnik cały czas pije, podczas gdy kiszki gotują się w wielkich kotłach, a gospodyni obok od razu wkuje mięso. I sprzedaje, co umówione, ma się rozumieć.

W Ł E B!

Anna Bocian

— Wreszcie każdy już przepije, a jak są pijacy w rodzinie — picie jest ostre, bierze na plecy swoją ćwiartkę i wychodzi. Założmy, że jest błoto... — zakończył poeta i zapadliśmy w mrok autobusu. Z naszego powodu jakiś prosiak miał swój ostatni sen. Szczeciniasie latnienie bez rozpaczki życia, jeszcze gdzieś układało sobie ryj na ciepło pachnącej ściółce.

— Wierzysz w reinkarnację? — zaciekawilo mnie.

— Coraz częściej, patrz, i nie wiem dlaczego — ożywił się poeta. — Wydaje mi się, że żyję jakby nie moim życiem. — Milczeliśmy, patrząc w noc, żeby nie przegapić naszej miejscowości.

— Wiesz, miałem wujka, który mówił, że palec stracił na wojnie, bardzośmy go szanowali za to. Aż raz ciotka się wściekla i mówi: na woj-

nie? A świnia mu odgryzła, jak ją zabijał.

— To raz sąsiad ukradł chłopu świński leb i sprawa trafiła do sądu — przypomniałam sobie. — Czyj to leb, pyta sąd powoda. Mój. A po czym go poznajecie? Po ryj!

— A ile świński leb czekał do sprawy? — zainteresował się poeta.

Jak zwykle zadowcipkowałyśmy poważniejsze tematy, wynajdując zastępcze wątki. I być może była to naturalna obrona organizmu, byle nie brać życia za poważnie i przetrwać, koniecznie z błyskotką pure-nosensu w klapie.

W mroku rozpoznaliśmy przypórę klasztornej muru, za chwilę drzewo i miejsce, gdzie poeta smucił się godzinami czekając na narzeczoną. Wyśledziłyśmy, rozdeptując jego wspomnienia z białą gęsią, panną od lilii zelananych co rano do kościoła.

— Nie była ładna, ale ta cudowna bezmyślność w oczach... — poeta pozwolił szukać właściwych słów.

Doim, do którego szliśmy, stał już bez światła. Przy jajeczniczy na stononie i z dwudniowym chlebem (jak

Dokończenie na str. 8—9

W klimacie szczerości

Relacja z Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczej PZPR w Lublinie ukazała się w codziennej prasie. Nie chcąc się powtarzać i pragnąc jednocześnie pełniej oddać klimat szczerości obrad przedstawiamy fragmenty wypowiedzi niektórych dyskutantów. Jak widać, poruszano na niej różne problemy, nie szczędząc krytycznych uwag. Naszym zdaniem pewne spostrzeżenia delegatów i gości Konferencji mogłyby stać się obiektem szerszej reporterskiej penetracji.

STANISŁAW RESZKA (FSC): „Czy przypadkiem jest to najłagodniejsza organizacja partyjne mamy w świątyniach wiedzy, w ośrodkach władzy terenowej, administracji gospodarczej? Nie, to nie jest przypadek, bo właśnie tam ubzdurano sobie, że są pępkiem świata. Zapomniano, że posłannictwem inteligencji jest służba, a nie sprawowanie władzy, służba klasie, która ją zrodziła, jedynej klasie, która potrafi burzyć, ale potrafi i budować.

Czy kolejnym przypadkiem jest, że reforma gospodarcza idzie jak po grudzie, że zjednoczenia przemianowano na zrzeszenia, że branżowe ministerstwa funkcjonują niemal w tej samej ilości? Nie, to nie jest przypadek, bo toczy się walka nie o wprowadzenie reformy, ale walka z reformą. Czy przypadkiem jest również, że w walce o samorządność nie możemy odnotować zbyt wielu sukcesów? Bronią się przed samorządami kierownicy przedsiębiorstw, ale kuriozalne, że broni się też wiele organizacji partyjnych...

TADEUSZ STASZAK (WSK): „Jako robotnikowi leży mi na sercu sprawa naszego szkolnictwa i to, że w polityce naszej partii i rządu kładzie się mały nacisk na odpowiednie dofinansowanie tych instytucji. Moim zdaniem muszą znaleźć się środki finansowe i rzeczowe dla oświaty. W odczuciu moim i współtowarzyszy trzeba przeciwdziałać zbyt dużemu napływowi kadry niekwalifikowanej do nauczania i wychowywania. Nie jest nam obojętne, kto wychowuje i naucza nasze dzieci, począwszy od przedszkola, a skończywszy na studiach wyższych...

MAREK ADAM JAWORSKI („Kamena“): „Ciągłe nie bez gorczy wspominać jesień 1981 roku, kiedy to wspaniałym, w którym teraz się znajdujemy, bardziej przypominał tonący „Titanic“, choć bez grającej orkiestry, niż Pałac Smolny. Pałacem Smolnym — oczywiście w określonych poręczach i oczywiście częściowo — siedziba KW PZPR stała się dopiero po 13 grudnia, ale wówczas pojawili się tu zarówno tacy, którzy — parafrazując Cicerona — byli wyznawcami zasady: *ibi patria, ubi bene* — co znaczy: gdzie ojczyzna, tam dobrze, ale i tacy, co myśleli — *ibi patria, ubi bene*. A gdzie oni byli, gdy tę partię przeciwnik starał się zagryźć na śmierć?

Postępowanie każdego członka partii trzeba oceniać indywidualnie, ale zarazem ani na moment nie wolno zapominać, że i jedna ryba może zmacić całą wodę strumienia. W Indonezji mówią: idziesz kogoś skopać, włóż buty. (O! i trudność w naszych obecnych warunkach!) Rzecz jednak nie w kopaniu, ale w konieczności uświadomienia sobie przez niektórych ludzi, pełniących nie tak znów wielkie stanowiska, że stan wojenny nie po to został wprowadzony, aby bronić czyichś przywilejów, stółków czy burek. Nikt zresztą nie będzie się kurczowo trzymać biurka, skoro ma świadomość, że i bez niego może pracować. Niebezpieczni są ci, którzy uważają, że biurko jest ich jedyną miłością i gotowi są je bronić nieczym średniowiecznej forticy...

ROMAN KORNACKI (OKON — Lubartów): „Wiele pocieszających faktów widzę i doznaję uczestnicząc w zebraniach podstawowych organizacji partyjnych. Wielu towarzyszy z pasją realizuje linię partii, ale są jeszcze i tacy, którzy nie wiem na co czekają, którzy nie rozumieją potrzeby tworzenia frontu porozumienia narodowego. Ci towarzysze nawet niekiedy przytakują, ale obowiązków dźwigać nie chcą...

KAZIMIERZ DRAGAN (sztygar): — Zrealizowaliśmy złożone z tego miesiąca przyrzeczenie i 30 listopada 1982 roku została uruchomiona pierwsza ściana w kopalni, która dziś daje 800 ton węgla na dobę. Nie możemy sobie jednak poradzić z likwidacją obojętnej w budownictwie mieszkani-

wym, które dziś wynosi ponad 1500 mieszkań; z zakończeniem budowy magistrali ciepłowniczej Łęczna—Bogdan-ka, co uniemożliwia dalszy rozwój miasta; z budową oczyszczalni ścieków dla Łęcznej, co grozi zniszczeniem naturalnego środowiska.

Budowa osiedla Samsonowicza wprawdzie się kończy, ale jest to tylko sypialnia dla 10 tysięcy mieszkańców. Nie wybudowano w nim dotychczas całej infrastruktury handlowej, kulturalnej, pomimo faktu, że blisko trzy lata konstrukcje, zakupione na te potrzeby za ponad 50 milionów złotych, leżą i niszczeją na terenie osiedla. Poza jednym supersamem i przestarzałym kinem nie możemy naszemu społeczeństwu niczego zaoferować...

ROMAN BORZECKI (PKP Lublin): „Napotykać na olbrzymie trudności z wnioskiem, którego realizacja ciągnie się od dziesięciu lat. Jest nim odwołanie lokomotywni i węzła. Problem ten traktujemy w swych działaniach jako pierwszoplanowy, priorytetowy. Obecnie rozwiązujemy go we własnym zakresie. Prace przy wykopach nowego kolektora prowadzimy na dwie zmiany. Ze względu na brak zgody władz miejskich na podłączenie odwodnienia do kolektora na Nowym Świecie lub w ul. Krochmalnej nie widzimy możliwości pozytywnego rozwiązania tego problemu. Interwencje u odpowiedzialnych władz miejskich spełniają na niczym, pomimo proponowanych przez PKP środków finansowych do przebudowy kolektora na Nowym Świecie...

ELŻBIETA BUCZKO (przew. Komisji ds. Skarg, Wniosków i Sygnałów od Ludności): „Są sygnały, że właśnie kierownictwa przedsiębiorstw nie są zainteresowane w reaktywowaniu pracy samorządów pracowniczych, każdy pilnuje — jak tu było dziś powiedziane — swego biurka. Powinniśmy o tych sprawach mówić właśnie na zebraniach partyjnych. Są też sygnały, że drobniostka może zrobić dużo nieporozumień. Wystarczyła jedna moneta tysiąc złotych i ile interwencji, ile telefonów! I znów okazało się, że ten srebrzak dotarł do kieszeni dyrektorów, głównych księgowych i kadry kierowniczej...

STANISŁAW JĘDRYCH (KM PZPR Puławy): „Popelniamy jeszcze wiele błędów. Wciąż mała jest nasza indywidualna i zbiorowa aktywność, bojęwość w każdym zakładzie pracy. Nadal nie możemy odejść od tzw. „ośmiogodzinnej członkostwa partii“, nadal nasi towarzysze zapominają, że mają legitymacje partyjne również na zebraniu rady spółdzielczej, komitetu obwodowego, w swoim rodzinnym domu. Nadal nie mamy skutecznego systemu szkolenia partyjnego, a nasza gotowość podjęcia dyskusji czy polemiki jest jeszcze dalece niewystarczająca.

Na atmosferę w partii, na jej kondycję mają także negatywny wpływ decyzje władz centralnych. Jak wytłumaczyć fakt masowego wypuszczenia pieniędzy na rynek w grudniu i styczniu — bez pokrycia, nie przypominając już decyzji o wcześniejszych emeryturach? Jak pogodzić opinię ministra rolnictwa o opłacalności produkcji, opartą na badaniach naukowych, z chłopską racją i dowodami? A tak przy okazji: marzę, aby załącznikiem do uchwały XI Plenum KC były męskie decyzje w prostych sprawach — by wsi dać na wiosnę gumowce, a w czasie zimy — osetki, kossy i sznurki do snopowiązałek.

Wydawaloby się, że jest argument do rozmów z chłopami. Taka oto gmina Wąwolnica zbiera rocznie 2 miliony 100 tysięcy złotych podatków, a fundusz socjalny dla tej gminy jest o 200 tysięcy złotych wyższy, czyli więcej państwo daje niż bierze. Ale nie jest to jednak argument do rozmowy, skoro temu chłopu nie zapewni się, że będzie miał gumowce na wiosnę, a kossy w czasie zimy...

RYSZARD CIESLIŃSKI (Politechnika Lubelska): „Usłyszałem z tej trybuny kilka nutek, które mnie bulwersują: klasa robotnicza i inteligencja. Czyżby znowu próby przeciwstawienia

Jednym drugim? Jeden z profesorów stwierdził, że 70 proc. inteligencji jeżeli nie w pierwszym, to w poprzednim pokoleniu ma swoich przodków po mieczu lub kądzieli wywodzących się ze wsi. Może warto niektórym inteligentom przypomnieć, skąd ich rodowód, w czym interesie, a zwłaszcza — z czyjego mandatu sprawują odpowiedzialną funkcję władzy, zarządzają coraz bardziej skomplikowanym procesem? Nie do przyjęcia jest takie ludowe sformułowanie, że nie ma gorszego tyraństwa niż z chłama zrobić pana...

JAN BRZOZOWSKI (KMG Poniatowa): „Czasami szeregowi członkowie kojarzą partię z instancją, jej kierowniczymi gremiami nie uświadamiając sobie, że partia to również oni wszyscy. Dochodzi czasem do myślenia pojęć — komitet, egzekutywa, organizacja partyjna, instancja partyjna. Nie jest w pełni uświadamiana rola organizacji partyjnej...

EDMUND DĄBROWSKI (nauczyciel): „Ukazało się wiele dokumentów wykonawczych do Karty Nauczyciela, ale większość z nich jest nieczytelna, jest niezrozumiała w interpretacji, wprowadza to ogromne zamieszanie w środowisku, nauczycielskim.

Po roku 1984 w samym województwie lubelskim wybiera się na emeryturę ponad 700 osób. W tej chwili ponad 800 osób jest bez kwalifikacji pedagogicznych, a tylko z wykształceniem średnim. Sypią się zwolnienia zastępców dyrektorów szkół, bo im się po prostu nie opłaca być zastępcami...

Prosimy, by KC wsparł ministra oświaty i wychowania w sprawach podwyżek płac personelu administracyjnego i personelu obsługowego w szkołach. Zwalniają się palacze, sprzętaczki, nawet księgowe. W wielu szkołach młodzież sama sprząta i czyści sanitariaty...

WITOLD GWIAZDA (KW MO): — Utrzymująca się ciągle atmosfera niedocenia i zdenerwowania powoduje, że na jej gruncie ożywają się elementy aspołeczne, kryminalne, zagrażające poważnie bezpieczeństwu państwa i obywatela. Rośnie przestępczość kryminalna, spekulacja, spada dyscyplina społeczna. W roku 1982 w województwie stwierdzono 12 226 różnych przestępstw, co stanowi w porównaniu do roku 1981 wzrost o 5,6 proc. Straty spowodowane działalnością przestępczą szacuje się w ub. r. na 374 mln złotych.

MIECZYSLAW GRABOWSKI (FLT Kraśnik): „Komitet Miejski w Kraśniku odbył przed tygodniem posiedzenie plenarne poświęcone samorządności w zakładach pracy w świetle wprowadzanej reformy gospodarczej. Przebieg obrad ukazał nam z całą jaskrawością, jak wypaczona jest samorządność w zakładach pracy, jak zniekształcane są w wielu przedsiębiorstwach zasady reformy gospodarczej. Niepodzielnie króluje chęć osiągnięcia zysku, nie uzasadnione windowanie cen na produkcję i usługi, wzrost płac — nie zawsze za pracę — i powiększanie nawisu inflacyjnego. Okazuje się po raz kolejny, że jedynie partia zainteresowana jest wdrażaniem reformy, a organa administracji i gospodarki często ją wypaczają lub nie rozumieją jej zasad.

JAN SKOMOROWSKI (KF PZPR w FSC): „Poważnym problemem jest sprawa szybko postępującego procesu dekapitalizacji majątku trwałego w FSC. Jeśli nie powstrzymamy tego procesu, to za kilkanaście lat nasza fabryka będzie przedstawiała wartość pustych hal produkcyjnych.

Kiedy zostaną uregulowane marże handlowe? Sumaryczna średnia pracochłonność związana z produkcją samochodu przekracza w fabryce 300 godzin. Zysk jednostkowy za Żuka wynosi 30 tys. złotych, zaś marża handlowa dla Polmożbytu — 10 tys. złotych.

WŁADYSŁAW CZAJKA (Opole Lub.): „Patrzymy w telewizję, wszędzie są narady. Może dobrze, że rodzicie, towarzysze, ale przede wszystkim trzeba wziąć się do roboty! Jak się zejdzie kilka kobiet, jak zaczną radzić, to nie ugotują ani obiadu ani kolacji!

LUCJAN WÓJTOWICZ („Agromet“): „Kto pozwolił na nieuzasadnione wypłaty w zakładach? Gdzie są kierownicy z nomenklatury partii? Gdzie jest kontrola bankowa i polityka fiskalna? Robotnicy mówią otwarcie, że to nie oni są winni, iż ktoś nie potrafi rządzić. Jeden z uczciwych naszych towarzyszy powiedział, że nie jest dobrym rolnikiem chłop, który wychodzi dwa razy w pole — raz aby zasiać i drugi, aby kosić, zapomina zaś

KRONIKA

● Na koncie Funduszu Rozwoju Kultury Lubelszczyzny widnieje 197 mln zł, a tegoroczne potrzeby różnych instytucji, placówek i towarzyszów są większe o kilkadziesiąt milionów. A skąd wziąć te środki, skoro zakłady pracy ani myślały finansować kulturę — choćby w zakresie zbliżonym do tego sprzed 2-4 lat? Nadzieja w Instytucie Społecznikowskim, wyobraźni i inicjatywy...

● Nie zawsze przecież inicjatywa i dobra wola wystarczą. Oto 23 stycznia w ładnym budynku Białostockiej „Desy“ (zbankrutowała) wystąpiła 11-osobowa grupa tamtejszych artystów, spośród których bodaj tylko jeden należy do ZPAP, co zresztą nie ma nic do rzeczy, bo sprawa niepomnieńca ważniejsza jest zupełnie dobry poziom wielu prezentowanych obrazów i rysunków. Tymczasem już pojawiły się propozycje ulokowania w budynku innego gospodarza, szpitalu w tym, że również zwanego z kulturą. Może jednak ktoś władny wziąłby pod uwagę fakt, że takie środowisko twórcze przydałoby się Białej...

● Na lubelskiej giełdzie samochodowej z końca stycznia ceny wywoławcze małych fiatów przekroczyły 518 tys. zł, a zdarzyło się, że wóz (wózki?) fabrycznie nowy oferowano za 1399 bonów dolarowych.

● „Powstanie styczniowe w twórczości prof. dr. Stefana Kleniewicza“ to tytuł wystawy w Bibliotece Głównej UMCS.

● Plakat francuski od Toulouse Lautreca do Alain le Queneec (22 odbitki offsetowe oryginalnych litografii) ze zbiorów Władysława Serwatowskiego prezentuje zamajskie Biuro Wystaw Artystycznych.

● Natomiast w lubelskim Muzeum Okręgowym można oglądać dwie wystawy, urządzone we współpracy z pokrewnymi placówkami z innych miast: „Baltowie, północni sąsiedzi Słowian“ i „Malarstwo Juliana Bajkiewicza“ (matwisty z Chelma).

o kontroli. Z naszych ministerstw wychodzą zarządzenia, ale nie kontroluje się ich realizacji, a potem mówi, że coś nie wyszło.

EUGENIUSZ TKACZYK (KZ PZPR w Kombinacie Budowlanym): „Czy firmy, które wyplacyły co do złotówki, nie zostawiając sobie ani grosika na rozwój, na odtworzenie majątku będą dotowane z budżetu państwa, czyli z tych firm w zasadzie dobrze pracujących?

Nawis inflacyjny bardzo łatwo jest znaleźć. Wystarczy pójść w niedzielę na giełdę samochodową. W naszym systemie dwudziestopięcioletka stać jest na to, by milion złotych, lub półtora wyłożyć na samochód? Nie wiem, czy on się tego pracą dorobił, bo ja w przeciągu dwudziestu lat — nie. Klasa robotnicza naszego kombinatu postawiła twardy wniosek: upaństwowić giełdę samochodową!

EDWARD KRUPA (TOP na Sławinku): „Praca partii w miejscu zamieszkania to zadanie i obowiązek całej partii, a nie tylko grupy emerytów, nawet najbardziej oddanych sprawie. Do terenowych organizacji należy skierować nowe siły. Ostatnio na wcześniejsze emerytury i renty przeszło setki stosunkowo młodych wiekiem członków partii. Pozostają oni jednak w organizacjach partyjnych macierzystych zakładów pracy. Nie mających zadań partyjnych należy przekazać do terenowych organizacji partyjnych w miejscu ich zamieszkania. Prezentuję też pogląd, że cały aktyw partyjny, a w tym także pracownicy aparatu partyjnego, powinni być zobowiązani do działalności w miejscu swego zamieszkania i to nie tylko okazjonalnie, lecz na co dzień.

WŁADYSŁAW DENYSIUK (emerytowany prac. FSC): „W młodości wpajano w nas, że sprawiedliwość społeczna nastąpi wtedy, kiedy nie będzie prywatnej własności, wyzysku człowieka przez człowieka. Z czasem okazało się, że spółdzielni czy państwu nie opłaca się trzymać restauracji lub hotelu, bo pan dyrektor nauczył się pracować w socjalistycznej restauracji i teraz nadaje się na agenta. A dlaczego państwowe restauracje czy państwowe sklepy nie były rentowne? Dlatego, że dyrektor musiał mieć ładną sekretarkę, ekonomistkę, zastępcę ekonomisty i kilku jeszcze rachmistrzów itd., a jedynie dwie kucharki i dwóch kelnerów. Ta czwórka miała wypracować na całą ekipę na gorze!

A jak jest w produkcji? Pięciu mistrzów na dwudziestu robotników. A gdzie technolodzy, sekretarki, kasjerki, gdzie ta cała hierarchia administracyjna? Tych dwudziestu robotników musi żywić innych, stąd narzuty wydziałowe — 400—1000—2000 procent

O D POCZĄTKU 1955 r. „Kamena” z kwartalnika stała się miesięcznikiem. Tak o tym pisała Maria Bechcysz-Rudnicka w jednym z pierwszych numerów: „W r. 1952 „Kamena” K. A. Jaworskiego została przekształcona w organ Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Zmieniła się struktura jej treści, format i szata graficzna. Przejście od czasopisma poetyckiego do periodyku społeczno-literackiego nastąpiło sporo trudności, a pochopni sędziowie, miejscowi i pozalubelscy, bynajmniej nam go nie ułatwiali. Skąpe recenzje o „Kamieniu” ukazywały się z kilkumiesięcznym opóźnieniem. [...] Wobec tego, że czasopismo kwartalne siłą rzeczy nie nadąża za wartkim nurtem postępu, Zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP zabrał od początku 1954 roku o zezwolenie na wydawanie miesięcznika. Wytwarne starania odniosły pożądany skutek: w październiku Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło dać „Kamieniu” prawo przekształcenia się z kwartalnika w miesięcznik. Pomyślna ta decyzja, zalegalizowana w lutym br. [1955 r. — M.D.], jest w zgodzie z ogólnym dążeniem do decentralizacji rynku kulturalnego Polski Ludowej”.

Właśnie lata 1955 i 1956 miały wpłynąć na ukształtowanie się profilu „Kamena”; stanowiły okres przygotowawczy do przekształcenia się pisma w dwutygodnik i przejścia na format gazety, co nastąpiło w roku 1957. Był to też okres, kiedy bardzo aktywnie dawało znać o sobie na łamach „Kamena” starsze pokolenie tutejszych literatów. Poza Marią Bechcysz-Rudnicką i Kazimierzem Andrzejem Jaworskim stale pisywali: Konrad Bielski, Wacław Gralewski, Stefan Wołski, Włodzimierz Chelmiński, Feliks Araszkiewicz — mając się zresztą różnych form, m.in. recenzji literackiej i teatralnej, publicystyki kulturalnej i społecznej, a nawet reportaży. Pojawiły się nazwiska Anny Jakubiszyn-Tatarkiewiczowej, Konrada Eberhardta i Zbigniewa Jakubika. Bardzo aktywnie poczynało sobie Koło Młodych przy Lubelskim Oddziale ZLP — prawie w każdym numerze drukowali Zbigniew Stepek, Władysław Cwik i bardzo jeszcze młodzi — uczniowie lubelskich szkół średnich — Andrzej Tchórzewski i Andrzej Turczyński. Pojawiały się pierwsze artykuły krytyczno-literackie Zdzisława Jastrzębskiego i Wojciecha Górnego, którzy przygotowywali się do kariery naukowej. Trzeba jednak zauważyć, że w owych dwóch latach — 1955 i 1956 — stosunki „Kamena” z miejscowym środowiskiem naukowym były nader luźne. Poza, oczywiście, profesorem Feliksem Araszkiewiczem, który pisywał dość często. Ale Araszkiewicz był zarówno naukowcem, jak i literatem, a jego zainteresowania badawcze obracały się głównie w sferze problemów literackich.

Tymczasem lubelskie środowisko naukowe lat pięćdziesiątych było nie tylko prężne i silne, ale także obfitowało w ludzi niecodziennych, czasem trochę dziwaków i oryginałów, których obecność przydawała jasnych barw ówczesnej szarzyźnie Lublina.

*

Z profesorem Feliksem Araszkiewiczem zetknąłem się za sprawą „recytacji”. Bardzo popularny wśród studentów KUL-u i szalenie przez nich lubiany „działdzo Araszkiewicz”, wybitny znawca Prusa i niestrudzony propagator jego twórczości, potrzebował kogoś, kto by czytał mu fragmenty utworów autora „Lalki” i „Faraona” podczas spotkań literackich. „Działdzo” miał wtedy już trudności ze wzrokiem; mówił świetnie i niezwykle zajmująco, ale gdy zaczynał czytać tekst — zaciął się, gubił wersy i cały efekt dotychczasowej prelekcji diabli brali. Musiał więc mieć lektora.

Towarzyszyłem mu chętnie w tych spotkaniach, bo — po pierwsze — szalenie mi to imponowało, a po drugie — profesor Araszkiewicz był człowiekiem niezwykle sympatycznym i o ujmującym sposobie bycia. Siwiuteńki, drobnej postury, z potężną świecą łysiną i małym wąsikiem, ubrany zawsze ze staromodną elegancją, mieścił się doskonale w naszych młodzieńczych wyobrażeniach o dawnych, „przedwojennych” wykładowcach uniwersyteckich. Wydawało się, że pochodził jakby z całkiem innego świata i tak zresztą po części było. Rozpoczynał wszak studia jeszcze przed pierwszą wojną światową na Uniwersytecie Jagiellońskim, w latach 1915—1918 studiował na Uniwersytecie Moskiewskim, w dwudziestolecie międzywojennym uczył w lubelskich gimnazjach, a potem przez szereg lat pracował w tutejszym Kuratorium. W roku 1936 otrzymał Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Po wojnie objął katedrę historii literatury polskiej na KUL-u.

Jako naukowiec był profesor Araszkiewicz bez reszty oddany Bolesławowi Prusowi, jako osoba prywatna pozostawał pod urokiem osobowości Józefa Piłsudskiego.

Postacią z podobnego przedziału czasowego był kierownik Zakładu Biologii Ogólnej Akademii Medycznej, prof. Hieronim Jawłowski, zwany przez wszystkich studentów-medyków po prostu „Zuczkiem”. Prowadził badania nad układem nerwowym owadów i często można go było spotkać na podlubelskich błoniach z siatką do chwytania owadów, czy też buszującego wśród traw, w poszukiwaniu „materiału badawczego”. Szczególnie upodobał sobie podczas egzaminów pytanie o budowę układu nerwowego Geotrupesa, zwanego potocznie „Czarnym zuczkiem”.

Zakład Biologii Ogólnej mieścił się wówczas na pierwszym piętrze kamienicy przy ul. Królewskiej 15. Profesor Jawłowski, drobny, szczupłutki, siedział w czasie egzaminu zapatrzony gdzieś w przestrzeń zaokieną, zagłębiony we własnych rozwa-

żaniach, jakby zupełnie wyobcowany z rzeczywistości... I tylko co pewien czas przerywał potok wymowy egzaminowanego wciąż tym samym pytaniem: *Aha, dobrze, dobrze, a teraz może mi pan powiedzieć, co pan wie o „Czarnym zuczku”?* Bieda temu, kto skorygował profesora, że właśnie przed chwilą udzielił na ten temat wyczerpującej odpowiedzi. Wszyscy wiedzieli dobrze ze studenckiej „gieldy” egzaminacyjnej, że należy, jakby nigdy nic, zacząć mówić od nowa. „Zuczek” bardzo lubił kolor błękitny, więc przychodziło się do niego w niebieskich koszulach, a dziewczęta wkładały niebieskie bluzki lub sukienki. Kto nie miał czegoś błękitnego, przed wejściem do gabinetu na gwałt pożyczal od współtowarzysza sesji szczęśliwy „talizman”. Nie znosił natomiast „Zuczka” sportowców, a do szafki doprowadzało go, gdy ktoś przyszedł na egzamin (zdarzały się w tamtych czasach takie wypadki) w szortach. Kiedys przy takiej okazji wypadł zza biurka, wyciągnął na środek gabinetu ogromny fotel i zawołał do zdetonowanego delikwenta: *Proszę przeskoczyć natychmiast przez fotel! Ja żądam! Ja wymagam!* A dopiąwszy swego, oznajmił triumfalnie: *Dziękuję panu. Egzamin z gimnastyki skończony. Teraz pan pójdzie do domu, włoży długie spodnie i przyjdzie znowu, na egzamin z biologii!!!*

Niezwykle elegancki i wytworny profesor Stanisław Liebhardt, kierownik Kliniki Położniczej AM, poza tym znawca i wielbiciel teatru, który nie przepuścił żadnej lubelskiej premiery, zajmując niezmiennie od lat to samo miejsce w pierwszym rzędzie parteru, był typem lekarza—Europejczyka starej daty. Tym większe sprawiał na studentach wrażenie, gdy w swym nienagannym garniturze i w finczyjnie do niego dobranym krawa-

nego lekarza weterynarii w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu. Zachował z tamtych czasów kawaleryjski wąsik, wojskową postawę oraz upodobanie do bryczesów i wysokich butów do konnej jazdy. Wobec piszącego te słowa zachowywał zawsze stosunek dobronliwy i wyrozumiały, a moje pierwsze próby pisarskie i rozdarcia weterynaryjno-artystyczne kwitował uśmiechem: *No cóż, kolego, ja was rozumiem, Zeromski też początkowo studiował weterynarię i też się na coś w końcu musiał zdecydować. I się zdecydował, i dobrze. Bo weterynarz pewnie by z niego był żaden, a pisarz — o ho, ho! Mało kto wie o tej cichej dumie, jaką lekarze zwierząt, postonowani w świecie lekarskim nieraz jako „końscy psychiatrzy”, żywią z powodu Stefana Zeromskiego, który o mały włos, a byłby jednym z nich...*

Każda uczelnia i każdy wydział miał swoich uwielbianych lub nielubianych, „niezwykłych” lub całkiem przyziemnych profesorów. Ale słuchaczy wszystkich uczelni — i trwało to przez wiele lat, a może nawet ciągnie się do dzisiaj — łączyły sympatia i podziw dla intelektu oraz niezwyklej, złożonej osobowości prof. Grzegorza Leopolda Seidlera z Wydziału Prawa UMCS, wieloletniego rektora tej uczelni. „Grzesio” — bo tak go pieśczośliwie nazywała większość studentów — wybitny znawca historii doktryn politycznych i prawnych, erudyta i świetny wykładowca, autor wielu książek i podręczników uniwersyteckich, był i jest nadal osobą tyleż barwną i niekonwencjonalną, co przyjazną ludziom. *Ja jestem rektor—chuli-gan* — zażartował kiedys w wywiadzie udzielonym Romualdowi Karasłowi. Oczywiście przyznał się w ten sposób do niekonwencjonalnych nieraz chwytów, jakie musiał stosować, aby wy-

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (3)

Vivant professores!



Mirosław Derecki

cie, demonstrował podczas wykładu położenie płodu w łonie matki, używając jako modelu... siebie samego.

Bił jednak wszystkich na głowę prof. Mieczysław Stelmasiak, wykładowca anatomii. Jak większość wykładowców tego przedmiotu, lubił on wkraczać na salę w licznej asyście wystrojonych w śnieżnobiałe fartuchy starszych i młodszych asystentów, którzy stanowili odpowiednią „oprawę” wykładu. Najbardziej akcentującym momentem owego „teatrum anatomiczne” był jednak jego „final”. To znaczy ten moment, gdy prof. Stelmasiak, zakończywszy dwugodzinny opis np. budowy jamy ustnej czy też przebiegu dwunastu par nerwów głowowych, wspierał się swym masywnym ciałem o katedrę i łocząc wzrokiem po sali, rozpoczynał odpytywanie: *Caavum oris... rozpoczyna się... Ostatni po prawej!!!* Siedzący na ostatnim miejscu, w ostatniej ławce po prawej stronie sali Collegium Anatomicum, powinien był na to zerwać się i wyrecytować bez zająknięcia dalszy ciąg opisu anatomicznego. Zazwyczaj płał się, mylił polskie i łacińskie nazwy, a profesor uśmiechał się szatańsko — ale jednak dobronliwie — zadowolony z wywołanego wrażenia. *Niech team się nie wydaje, że anatomia to coś łatwego!!!*

Niezwykłą postacią był na Wydziale Weterynarii w Lublinie profesor anatomii topograficznej, Stefan Lutnicki. Z usposobienia choleryk, dostawał szału przy każdej złej odpowiedzi, sesja egzaminacyjna była dla niego prawdziwą szarpaniną nerwów, natomiast rodzajem kina i cyrku dla studentów, którzy wybaczały mu nawet sypiące się na prawo i lewo oceny niedostateczne, lecz za to w jakiś sposób i przy jakim „ceremoniale” stawiane! Prof. Lutnicki potrafił zaskoczyć zdającego takimi „niepodręcznikowymi”, ale zmuszającymi do myślenia pytaniami, jak na przykład: *Co to jest głowa? Tutaj zawodziło wykucie się na pamięć. Trzeba było myśleć, analizować, wyciągać wnioski, dawać swoją interpretację. Inna sprawa, że prof. Lutnicki był chimeryczny i nigdy z nim nie było wiadomo... Dręczył na przykład egzaminowanego pytaniem: *Do czego służy kregosłup? Delikwent pocił się, dwoli i troili w odpowiedziach i wciąż słyszał ulubione określenie Lutnickiego: *Beeeznadziejnie...! A poprawne wyjaśnienie brzmiało: *Kregosłup służy do tego, żeby dupy na szelkach nie nosić.****

Najwyższy stopniem wojskowym wśród lubelskiego świata nauki był profesor chirurgii i ortopedii na Wydziale Weterynaryjnym, pułkownik w stanie spoczynku Franciszek Klepaczek. Przed wojną sprawował przez wiele lat funkcję naczel-

debić od władz przydziału kolejnych funduszy na budowę jego ukochanego Miasteczka Uniwersyteckiego — jak zwykły mawiał: *Lubelskiego Harvardu*. Kiedy spotykam go na ulicy, zawsze emanującego radością życia i przyjaznym stosunkiem do świata, gdy widzę jego niezmienny, elegancki kapeluszek „eden” oraz ciemną lub popielatą jesionkę, jawią mi się zaraz niezapomniane momenty z życia lubelskiego środowiska studenckiego, naukowego, kulturalnego.

Nie wiem, ile w tym procent prawdy, ale do jednej z najpiękniejszych opowieści o dowcipach, jakie zwykły był robić prof. Seidler w okresach swego rektorowania na UMCS, należy ta, która głosi, jak to w drugiej połowie lat pięćdziesiątych profesor przysłał z Londynu depeszę zredagowaną w sposób krótki i lapidarny: *„Rektorat i Senat UMCS w Lublinie, Plac Litewski 5. WYBRAŁEM WOLNOŚĆ. STOP. GRZEGORZ LEOPOLD SEIDLER. STOP”*.

Na uniwersytecie zrobiła się piekielna afera, miał się zebrać Senat uczelni, aby postanowić kolegielnie (!!!), co począć „z tym fantem”. A na drugi dzień pojawił się w rektoracie... sam nadawca telegramu, zaśmiewając się do rozpuku: *No co, no wybrałem wolność, czy nie wybrałem, jestem z wami, czy nie jestem?*

Potrafił profesor Seidler żartować, potrafił uczyć i budować, umiał też opanować studencki tłum, gdy ponosiły młodzieńcze temperamenty. Jak wówczas, gdy stanął na czele sformowanej ad hoc manifestacji, której uczestnicy domagali się poprawy ogrzewania w domach studenckich i ciepłej wody do mycia. Poprowadził setki studentów spod rektoratu w centrum Lublina aż do Dzielnic Uniwersyteckiej, a co tam obiecał, zrealizował w ciągu trzech dni.

Nie stronił nigdy od uciech podniebienia. Bywał w restauracji „Powszechna” nieraz widzieli go w dawno już teraz nie istniejącym słynnym „kafiku”, w pobliżu obfite wówczas zaopatrzonego w zimne zakąski bufetu...

Po latach, kiedy odszedł na pewien czas z Lublina, odwiedziłem go w Londynie, gdzie piastował właśnie stanowisko dyrektora Instytutu Kultury Polskiej. Poznał mnie od razu, choć nigdy nie byłem jego studentem, a tylko działałem w studenckiej kulturze, i swoim zwyczajem zwrócił się do mnie „na ty”: *No widział, gdzie Lublin, a gdzie Londyn! Jak tam w Lublinie, co? Za Lublina, za!... Co to Londyn? Miasto jak miasto. A tam był Uniwersytet, była młodzież, był „polski Harvard”. Tam to były czasy, co?*

Dyrektor WL Ireneusz Caban:

„Nie ma problemów z wydaniem dobrej książki”

Na początku bieżącego roku w całej gospodarce dokonujemy obrachunku z minionym. Dotyczy to nie tylko ekonomicznej sfery naszej egzystencji, ale i kulturalnej. W tej ostatniej, bodaj najważniejszym przedsięwzięciem był 25-procentowy wzrost nakładów książek w Polsce, do czego w widocznym stopniu przyczyniła się i Wydawnictwo Lubelskie. O tym, co zrobiono, jak również o zamiarach WL na przyszłość rozmawiam z jego dyrektorem, Ireneuszem Cabanem.

— Jaki był ten rok 1982 dla Wydawnictwa Lubelskiego?

— Najlepszy w naszej ćwierćwiecznej historii. Wydaliśmy 54 tytuły w przeszło 2,8 mln egzemplarzy. Nakład naszych książek został niemal podwojony w porównaniu z rokiem 1981. W największych nakładach, bo sięgających łącznie 1,4 mln egzemplarzy, ukazały się bajki dla dzieci.

— A w księgarniach nie ma żadnej z nich...

— To świadczy o wciąż dużej chłonności rynku czytelniczego. W dużych nakładach wydawaliśmy nie tylko książki dla najmłodszych. W niewiele mniejszych ukazały się również utwory dla młodzieży oraz klasyka, w tym np. „Ludzie bezdomni” Stefana Żeromskiego w 250 tysiącach.

— Z dotychczasowej naszej rozmowy mogłoby wynikać, iż Wydawnictwo Lubelskie specjalizuje się w literaturze dziecięcej i młodzieżowej...

— Rzecz jasna, tak nie jest. Utrzymujemy profil humanistyczny, w którym obok literatury pięknej swoje stałe miejsce ma popularnonaukowa i naukowa. Świadczą o tym ubiegłoroczne publikacje, zresztą już niedostępne w księgarniach, jak Marii Zakrzewskiej-

Dubasowej „Ormianie w dawnej Polsce”, Adama A. Witusika „Z raptularza historyka”, Jerzego Łojka „Wiek markiza de Sade” czy Zygmunta Mańkowskiego „Między Wisłą a Bugiem”. W minionym roku powołaliśmy do życia nową serię wydawniczą, poświęconą poezji dwudziestolecia międzywojennego. Otworzyły ją zbiory wierszy twórców związanych z regionem lubelskim: Józefa Czechowicza i Bolesława Leśmiana. Najstaranniej pod względem edytorskim wydana została bogato ilustrowana monografia stadniny koni w Janowie Podlaskim Ireneusza J. Kamińskiego „Konie rubinowe”. W sumie rok ów zakończyliśmy sukcesem wydawniczym i z optymizmem, do którego skłania nas podwojenie nakładu w trudnej sytuacji kryzysowej. A w ogóle wydaje mi się, iż ten nasz polski kryzys po części leży w sferze psychicznej. Im szybciej się przełamiemy w sobie, tym wcześniej zacznemy osiągać lepsze wyniki produkcyjne.

— Co legło u podstaw sukcesu?

— Duża dyscyplina pracy, jakiej nie było od sześciu lat, od kiedy kieruję Wydawnictwem. Dzięki niej stan wojenny w naszym przedsiębiorstwie jakby przestał istnieć jeszcze jesienią. Ja-

ko pierwsi w kraju w naszej branży mamy „odwieszony” samorząd, rozpoczęły działalność nowe związki zawodowe. O dobrych wynikach ekonomicznych, mimo znacznego wzrostu cen usług poligraficznych i papieru, zdecydowały stosunkowo niskie koszty wydawnicze. Od 1981 r. jesteśmy samowystarczalni finansowo i nie stanowi o tym bynajmniej cena książki, która w porównaniu z innymi artykułami wzrosła niewiele, bo tylko o 97 proc. Zgodnie z uchwałą Rady Ministrów nr 186, w następstwie wzrostu produkcji w II półroczu nie świadczyliśmy na fundusz aktywizacji zawodowej. Jest w tym również spora zasługa zakładów graficznych w Lublinie i Rzeszowie, które drukują najwięcej naszych książek.

— Miniony rok zainicjował wdrażanie reformy gospodarczej. Jaki wpływ miała ona na funkcjonowanie przedsiębiorstwa?

— Na początku w wielu sprawach nie było jasności. Zaskakiwały nas pewne decyzje, nie zawsze korzystne dla wydawców, jak chociażby ostatnia, z grudnia, w sprawach naliczania zysku. Niewątpliwie reforma wpłynęła na wzrost odpowiedzialności za wykonaną pracę, a zarazem uświadomiła ciężar konsekwencji popełnianych błędów. Po prostu każdy pracownik wie, iż od jego osobistego wysiłku zależne są wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa i indywidualne zarobki. W rezultacie wzrosła wydajność pracy i to bez udziału godzin nadliczbowych. Po raz pierwszy też, i to jest następstwo działania reformy, zwiększyło się zainteresowanie zakładów graficznych drukiem książek. Produkcja dziełowa stała się bowiem wreszcie opłacalna.

— Co przyniesie nowy rok? Stagnacja czy postęp?

— Wychodząc naprzeciw potrzebom czytelniczemu, a także wszelkim regulom gry ekonomicznej, zakładamy zwiększenie naszej produkcji w granicach 40 proc. Jeśli w 1982 r. nakład naszych książek wynosił około 600 arkuśmów wydawniczych, to w bieżącym sięgnie 1052. W liczbach bezwzględnych oznacza to wydanie 80 tytułów w łącznym nakładzie 4,2 mln egzemplarzy. 75 proc. tegorocznych naszych zamówień jest już w drukarniach; ostatnie pozycje prześlemy w pierwszym kwar-

tal. Pod względem merytorycznym jest to plan lepszy niż ubiegłoroczny, na którym istotnie piętno odcisnęły tzw. poślizgi. Tradycyjnie nie zapominamy o naszych najmłodszych czytelnikach. Z myślą o nich w nakładzie blisko 2 mln egzemplarzy wydamy wiersze i bajki Józefa Czechowicza, Ewy Szemberg-Zarembiny i innych autorów. Spośród odmiennych pozycji zasymalizowania warte jest pierwsze polskie wydanie książki Mariana Pankowskiego, która obiegła już całą Europę, pt. „Matuga idzie. Przygody”. Do wydarzeń związanych z odsieczą wiedeńską nawiązywać będzie powieść ukraińskiego literata Wołodymyra Małyka „Jedwabny sznur”. Wznowimy też Tadeusza Boya-Zeleńskiego „Marysięnkę Sobieską”, Krzysztofa Kąkolowskiego „Wańkowicz krzepi”, Jerzego Łojka „Potomków Szczesnego”. Ukaze się także zbiór szkiców Jadwigi Dackiewicz „Faworyty władcy Francji”. Nie sposób zresztą wymienić wszystkich tytułów.

— W jakim stopniu Wydawnictwo zaspokaja potrzeby miejscowego środowiska literackiego i naukowego?

— Wystarczy przejrzyć tegoroczne zapowiedzi wydawnicze, by stwierdzić, że mniej więcej w połowie przynoszą one utwory miejscowych autorów, jak Romana Tokarczyka, Janusza Misiewicza, Ireneusza J. Kamińskiego, Ryszarda Jegorowa, Zygmunta Pikulskiego, Jana Pocka, Adolfa Lekkiego, Marii Józefackiej. Szczerze trzeba jednak powiedzieć, iż nie mamy nadmiaru książek od autorów lubelskich. Dziś mogę stwierdzić, iż nie ma problemów z wydaniem dobrej, wartościowej książki, na którą jest zapotrzebowanie rynku czytelniczego. Jednocześnie doceniamy znaczenie wielu książek dla nauki i nadal będziemy jej wydawać, choć nie są to tytuły rentowne.

— Dziękując za rozmowę, jeszcze jedno pytanie: co z papierem, o którym dotychczas nie mówiliśmy ani słowa?

— Po prostu jest. Obecnie już nie papier warunkuje dalszy wzrost nakładów książek, a możliwości produkcyjne zakładów graficznych. Jeśli ubiegłoroczne nasze zamówienia realizowało pięć zakładów, to tegoroczne dziewięć.

Rozmawiał:
Stanisław Wojnarowicz

Miłosz za sześć „paczek”

Krzysztof Stanisławski

MIŁOSZ za sześć „paczek” — odpowiedział bez mrugnienia okiem młody sprzedawca za straganu na bazarze przy Hali Mirowskiej w Warszawie, gdy uszczęśliwiony znaleźnikiem spytałem o „Dolinę Issy”, której cena na odwrocie wynosi 80 zł. A „miłoszów” miał miły sprzedawca jeszcze kilka, m.in. „Człowieka wśród skorpionów” i „Psalmy” (przed 13 grudnia 1981 r. handlarze mieli znacznie większy wybór, sprzedawano książki Miłosza wydane przez Instytut Literacki w Paryżu, NOW-a, Wydawnictwo „Krań” i in.; dziś z druków offsetowych spotyka się tylko wydawnictwa kościelne).

Na straganie leżały nowiutkie książkowe bestsellery ostatnich miesięcy i lat, których nie można praktycznie nigdy spotkać w księgarniach. Pasłem oczy tytułami, o które zabijają się ludzie pod „Domami Książki”, próbowałem także pytać o ceny, lecz wkrótce przestałem, choć facet obok mnie kupił właśnie mały kieszonkowy słowniczek niemiecko-polski za osiem „paczek”. Niestety, ja miałem w kieszeni tylko dwie „paczki” i ze straganu mogłem za nie kupić jedynie małą książeczkę Waldemara Lysiaka, która mnie jednak nie zainteresowała. Poszedłem więc do stoiska obok i pocieszyłem się, kupując parę główek sałaty za swoje „paczki”, czyli 200 zł.

Miłosz (dość duży wybór), Wańkowicz (kilka tomów starszego wydania „Pism” i „Karafka La Fontaine’a”), Krawczuk, Graves, Lysiak, Hemingway („Komu bije dzwon” — różne wydania), „Decameron”, „Pogoda dla bogaczy”, „Przemiętło z wiatrem” i kilka innych pozycji stanowią aktualną „listę przebojów” warszawskiego „czarnego rynku” księgarskiego w dziale: literatura.

Osobną kategorię stanowią serie wydawnicze: „ceramowska”, „Żywoty sławnych ludzi” oraz „BMW”, choć ta ostatnia znacznie straciła na popularności, po prostu nie wychodzą już tak atrakcyjne dla przeciętnego czytelnika pozycje, jak książki Dittfurtha, Tofflera czy Fromma. (O seriach wydawniczych dużo się pisze i często analizuje mechanizmy ich funkcjonowania, rzadko jednak docenia się fakt, że przez swoją podobną oprawę graficzną wyglądają one po prostu ładnie na półkach i to stanowi często o ich powodzeniu, czego przykładem „Żywoty”). Następnie albumy — polskie, NRD-owskie i wiedeńskie; ostatnio można było spotkać edycje z reprodukcjami Van Eycka i Memlinga, choć nie działa tu, jak sadzę, prawo gustu, lecz tylko prawo serii wydawniczej. Z kolei słowniki; jest ich duży wybór, ale są bardzo drogie, bo handla-

rze wykorzystują wielkie zapotrzebowanie czytelników, z którym od wielu lat nie mogą sobie w żaden sposób dać rady wydawcy. Słowniki stanowią stałą pozycję wszystkich straganów; niektórzy sprzedawcy osiągnęli nawet duży stopień specjalizacji, oferując cenne edycje zagraniczne słowników terminologicznych etc. Zupełnie osobną grupę książek stanowią poradniki, aktualnie przede wszystkim działawca i ogrodnika. Jak zawsze wyprzedzany jest normalny rynek; w księgarniach na tematy ogrodnictwa nie ma prawie wcale książek, albo mają one zbyt małe nakłady — edytorzy i księgarze ciągle zaskoczeni są wzrostem zapotrzebowania na poradniki w tej dziedzinie. Wydawnictwa minęły się z rynkiem, a handlarze tylko zbijają na tym pieniądze. Poradniki, szczególnie te duże, z kolorowymi ilustracjami, nie schodzą poniżej 10 „paczek” (8-10 razy drożej od ceny oficjalnej). Przed kilku laty podobnie wyglądała sytuacja z książkami dotyczącymi motoryzacji, dopiero dziś, z kilkuletnim opóźnieniem, liczba publikacji na ten temat jest wystarczająca, na straganach nie ma więc takich poradników.

Pracuje wcale nie uświadczysz na „czarnym rynku” księgarskim romansów, kryminałów i S-E, a więc tzw. literatury popularnej. Pewnie dlatego, że są one drukowane w masowych nakładach i to wydawnictwa przede wszystkim na nich zarabają. Na „czarnym rynku” książki takie nie mogą osiągnąć już odpowiednio wysokiej ceny, i tym samym nie są interesujące dla handlarzy, chyba że dla tych drobnych lub antykwarystów. Podobnie przedstawiła się sprawa z komiksami, które przed 10 i więcej laty były głównym towarem bazarowego księgarstwa. Dziś komiksy kupuje się w kioskach „Ruchu”, ze straganów zniknęły. Nie ma na straganach prawie wcale starszych i w ogóle starych wydań. Ich domena są antykwariaty, i to specjalistyczne, gdyż handel tym towarem wymaga odpowiedniego przygotowania, cierpliwości oraz wyjątkowej klienteli złożonej z konosersów, którzy mogą ocenić wartość książki, godzą się zapłacić za nią nawet najwyższą cenę.

Aby zamknąć tę wycieczkę i analizę szczegółową ogólniejszymi wnioskami, warto postawić się kategorią o szerszym zakresie. Otóż jeśli chodzi o literaturę, bo ten aspekt bazarowego rynku księgarskiego interesuje mnie najbardziej, to zgodnie z typologią stosowaną przez Roberta Escarpita, wybitnego francuskiego socjologa literatury, na czarnorynkowych półkach możemy spotkać głównie trzy rodzaje wydawnictw: książki „solidne” (edycje „konserwatywne” i „klubowe”, tzn. takie, które mają zająć miejsce w bibliotece — głównie klasyka w dobrych wydaniach, albumy itp.), książki „na zasadzie sensacji” (ich atrakcyjność i „sensacyjność” opierają się na wartościach pozaliterackich, np. na związkach z konkretnymi wydarzeniami kulturalnymi, społecznymi, politycznymi) i bestsellery. Te dwa ostatnie rodzaje przyjmują najczęściej formę edycji „konsumpcyjnej”. Naj-

więcej jest oczywiście na straganach bestsellerów i książek „na zasadzie sensacji”; książek „solidnych” jest mniej, choć generalnie rzecz biorąc, taką funkcję spełniają u nas nawet niektóre kieszonkowe serie wydawnicze.

O specyfice „czarnego rynku” księgarskiego i w ogóle o jego istnieniu decyduje odpowiednia ustalenie ceny książek. Ta wieloaspektowa kalkulacja ma kapitalne znaczenie przy analizie rynku bazarowego, jej mechanizmy stanowią o jego istocie.

Na cenę bazarową książek wpływają najrozmaitsze czynniki: „techniczne” — cena oficjalna, wysokość nakładu, staranność edycji (oprawa, jakość papieru, ilustracje), rok wydania, przynależność do serii wydawniczej itp.; „czytelnicze”, oparte na znajomości rynku czytelniczego: moda, popularność danego autora, tematu lub po prostu danej książki, wynikająca z faktów aktualnych, jak np. śmierć pisarza, ważne wydarzenia polityczno-kulturalne (wybór Karola Wojtyły na papieża, przyznanie Nagrody Nobla Młoszowi). Można by wymieniać jeszcze wiele innych pokrewnych czynników, choć większość z nich to elementy normalnie wpływające na politykę wydawniczo-księgarską, tyle że na bazarach funkcjonujące o wiele sprawniej i skuteczniej. Wydawca, jako producent, biorąc pod uwagę te wszystkie czynniki „czytelnicze”, ustala zgodnie z nimi przede wszystkim wysokość nakładu i dopiero później ewentualną cenę (na razie dość rzadko, chociaż zaczyna się to upowszechniać, czego przykładem „Motory” Zegadłowicza). Bazar natomiast nie ma oczywiście wpływu na nakład i bierze pod uwagę te czynniki tylko przy ustanawianiu ceny — możliwie najwyższej, ale takiej, by jednak książki znajdowały nabywców.

O specyfice kalkulacji handlowej księgarza bazarowego w znacznym stopniu decydują momenty, które dość rzadko brane są pod uwagę przez wydawnictwa państwowe, na bazarze zaś bywają często kryteriami najważniejszymi, sprawiającymi, że na ladach pojawiają się pozycje nawet sprzed kilku czy kilkunastu lat i „Idą jak woda”. Chodzi tu np. o czynniki „filmowo-telewizyjne”. Kryterium to świetnie służy bazarowi, lecz wymaga od sprzedawców błyskawicznego refleksu i wycucia (łatwiej sprzedać drogo książkę po drugim odcinku „ogładanego” serialu, niż po dziesiątym, czy po skończonej emisji całości), dużej dynamizmu i tempa: ludzie interesują się tylko tak długo książką, jak długo jej adaptacja wyświetlana jest w kinie lub telewizji. Najważniejsza w tym wypadku jest aktualność książki, choć przy pozy-

Dokończenie na str. 9

Przyjaciółki

Kate Roberts

ELEN siedziała w saloniku niezdecydowana, czy iść na licytację, bowiem narożny kredens przestał ją interesować. Nadermnie szukała go latami. Próżne wysiłki ośtudzili gorączkę poszukiwań, ale kiedy się dowiedziała, że taki właśnie kredens wystawiono z meblami po zmarłej pani Hughes, znów poczuła pragnienie posiadania.

Patrzyła na meble w swoim pokoju. Myśl o kredensie nie sprawiała jej zbyt radości. Urodziła jeszcze jedno dziecko, gdy inne są już dorosłe. Kredens przypominałby dziwaczne odgałęzienie pnia drzewa. Od wielu lat pułowala swe meble. Teraz mają połysk jedwabiu. A pani Hughes ponoć nie dbała o wygląd mieszkania. Jeśli to prawda, kredens będzie nieoczekiwanym dzieckiem... Choć czasem bardziej się przywiązujemy do niego, niż do pozostałych dzieci... Tak. Chyba pójdzie na tę licytację.

Dziwne. Zaczęła patrzeć na swoje meble, jakby to ona już umarła. Pewnego dnia wszystko się porozprasza: tu — bielizniarka, tam — komoda, jeszcze gdzieś indziej — dębowy stół. Jak rozłączone sieroty... Adoptowane przez obcych ludzi... Ale do tego czasu jej meble upodobniały się do gratów pani Hughes...

Opamiętała się. To tylko przeblysk zła grobu. Bez znaczenia. Niebawem zniknął nagły ból towarzyszący tej myśli. Stan mebli pani Hughes był już dla niej obojętny. Do wieczora — porostawiają je tu i tam... Rzuca niby maty — psu pod nogi...

Tak. Na pewno pójdzie. Lecz dalej siedziała, jakby na coś czekając. Ogarnęły ją myśli o pani Hughes... Niezbyt dobrze ją znała, mimo że chodziły do tego samego kościoła. Zmarła kobieta, wdowa, była jedną z tych, które zawsze mówią po angielsku, choć lepiej znają walijski. Wciąż zajęta — szykowała podwieczorki i kolacje na zebrania Towarzystwa Literackiego — zalaćwała masę spraw, o których Elen nie miała pojęcia. Zawsze ją uważała za jedną z wielu do siebie podobnych. Niczym się nie wyróżniała od reszty sześćdziesięcioletnich dam. Faktycznie to, co ją różniło, sprawiała równocześnie, że się jeszcze mniej rzucała w oczy, wtapiała w tłum i w nim ginęła. Inne kobiety dobrze się ubierały, wyglądały kolorowo — uczesane włosy, pomalowane usta — starały się poprawić wrodzone braki urody. Pani Hughes i jej sukniom — brakowało barw. Niezmiennie nosiła marenego. Siwizna jej włosów rozpyływała się w ubraniu niby potok w rzecze. Wszystko, co miała na sobie, wyglądało na skromniejsze niż w rzeczywistości. Nikt nie wiedział, kiedy nosiła nową suknię — każda miała identyczny kolor.

Była podobno zamożna. I skąpa. Mówiono, że u niej w domu — by rzecz najogólniej — panował nieporządek. Choć przecież mogła komuś zapłacić, żeby o to zadbał. Powiadano, że wcale nie potrzebowała umierać. Pewnego dnia ktoś się rano włamał do jej mieszkania. Od kilku dni nikt jej nie widywał, a pod drzwiami stał rząd butelek z mlekiem. Znalezione ją w łóżku. Martwą. Ludzie mówili, że gdyby w porę zawiadomiła lekarza, na pewno by jeszcze żyła, bo w zasadzie na nic nie chorowała. Później zaczęto rzecz jasną wyznajdywać powody, dla których nie prosiła do siebie ani znajomych, ani doktora. Choć miała telefon. Ponoć nie chciała, by ktokolwiek zobaczył, w jakim stanie znajdował się dom. Wyglądało, że wstawiała

parokrotnie, żeby sobie przygotować posiłek...

Elen pomyślała, że nie do niej należy zabawa w detektywa. Ma kupić narożny kredens. Przecież się zdecydowała... No właśnie. Jeżeli się zdecydowała... Brała i to pod uwagę — nagła śmierć tamtej kobiety mogła wywołać wahanie. Co by było, gdyby i ona... Poczula przygnębienie. Niemniej jednak pójdzie. Zobaczy ludzi. Trochę życia... Licytacja stanowi częstą część życia. Nawet licytacja rzeczy po zmarłej. Takie jest życie. Spuściznę po zmarłych kupują żyjący... Żyjący odrobinę dłużej...

Spotka więc swoją przyjaciółkę, Marged, która przychodzi na każdą licytację. Choć nie zamierza kupić. Przychodzi, żeby spotkać ludzi w nowym otoczeniu. Innym od tego na kazaniu w kościele, na zabawie, na koncercie. Marged mawiała, że ludzie stają się na licytacji inni.

Najpierw poszła tam, gdzie ustawiono meble. Przypuszczalnie była to bawialnia. Kredens stał na swoim miejscu. Doprawdy solidny mebel. Da się coś z niego zrobić. Gdyby go tak jeszcze wyczyścić... Ale bardziej wypadłoby się zająć pokojem. Zacieki od deszczu i plamy wilgoci na całej powierzchni tapety upodabniały ją do powieszonych nad kominkiem mapy hrabstwa Anglesey. I do umieszczonych pod oknami map śródziemnomorskich miast. W kominku brakowało cegieł. Ział dziurami jak proteza, z której wypadały zęby. Wchodząc do pokoju, Elen spostrzegła, że zasłony — tak przyzwyczajone z zewnątrz się prezentujące — od wewnętrznej strony mieszkania wyglądały jak sito — przegniłe, niemal się rozlatywały. Nie zdziwiłaby się widząc, że opadają z wolna, nienaruszone, niby mgiełka, jakby je właśnie opuszczał duch. A u brzegów listwy przy podłodze — stwardniał wieloletni kurz, niby szpagat.

Z innych pokoi wchodził kupujący. Elen usiadła na wolnym krześle. Na sąsiednim zajęła już miejsce młoda kobieta: na nikogo nie patrzyła, sprawiając wrażenie przyzwyczajonej do siedzenia. Wyglądała na młodą matkę — cała czyściuteńka i przesadnie zadbana: od szarej spódnicy poczynając, na wąskich, czerwonych ustach skończywszy. W miasteczku były dziesiątki takich jak ona: włosy — według ostatniej mody: krótkie na karku, z przodu w czub — nadawały jej wygląd wychudzonej kury. Na lewo od Elen stała składana drabinka, a na drabince siedział mężczyzna około sześćdziesiątki, w specjalnych okularach. Za każdym razem, gdy ktoś wchodził, siedzący spoglądał nań przez dolną połowę szkieł. Wkrótce weszła Marged i usiadła między Elen a młodą kobietą.

— Masz zamiar coś kupić?

— Jeszcze nie wiem. Chyba kredens...

Młoda kobieta lekko przekreśliła głowę, a potem znowu się odwróciła. Obcasem nerwowo stuknęła w podłogę, a pierścionkiem poruszała wokół palca.

— Nieźle się zapowiada — rzekła Marged i dodała po chwili: — Mimo że wcale na to nie wygląda...

Weszły cztery kobiety, przyjaciółki pani Hughes. Najstarszą z nich, panią Jones, zmarła najczęściej lubiła i co roku razem spędzały wakacje.

— Nigdy bym nie pomyślała — rzekła pani Jones — że dom znajduje się w takim stanie. Nic dziwnego, że mnie tu nigdy nie zaprosiła.

— A, no właśnie — uzupełniła jedna z dam — wołała cudze mieszkania.

— Zawsze to mniej kosztuje — sy-pały się kolejne uwagi.

— Tylko posłuchaj... — rzekła Marged do Elen.

— I co z tego, że wołała cudze? — wtrąciła Elen.

Pani Jones podniosła głowę do góry, spoglądając na ściany i sufit, jakby badała niebo i przeliczała gwiazdy:

— Kiedy umrę — ciągnęła — mój dom nie będzie w takim stanie jak teraz ten pokój.

Mężczyzna z drabinki popatrzył na nią poprzez dolną połowę szkieł, chrząkając pogardliwie:



Rys. Edward Inglet

— Uhum... Elen wydało się, że na jej sercu po-łożono zimny okład. Poczula niesmak.

— Co za cynik — powiedziała Marged zaciskając zęby.

— Dziwka — padło w odpowiedzi.

— Uspokój się! — upominała Elen.

Pani Hughes znaczyła w tej chwili dla niej dużo więcej niż zmarła pani Hughes. Ożyła, ponownie stała się jedną z kobiet, które razem chodziły do kościoła: patrzyła na nie, uśmiechała się, radołowo ją ich towarzystwo na czyjejś licytacji... A potem wypadła raptem z grona jak snopek zboża z kopki...

Wchodziło coraz więcej osób i młoda kobieta coraz bardziej się denerwowała. Z tyłu dobiegały czyjeś głosy, a jeden z nich był donioślejszy od pozostałych: wymowa i akcent zdradzały wiejską niewiastę:

— Nie zapominajmy, że była miłą staruszką. Dla każdego miała zawsze uśmiech — kimkolwiek by nie był. W głowie — nie za dużo, ale dobra dla przyjaciół i uczniwa.

Wszedł licytator. Damulka zaczęła przygryzać wargi. Na pierwszy ogień wzięto kredens.

— Trzy funty — powiedział niski mężczyzna z drabinki. Był jakby zadowolony, że może sobie ulżyć.

— Trzy funty i pięć szylingów — powiedziała spokojnie młoda kobieta, w taki sposób ruszając głową, że czub włosów przesunął się do przodu i upodobniła się do barana, który właśnie zamierza szarżować na licytatora.

— Trzy funty i dziesięć szylingów — ku własnemu zdziwieniu Elen wyrzekła to pogodnym tonem.

— Trzy-dwanaście-sześć! — powiedział mężczyzna

— Trzy-piętnaście — zuchwale od-paliła Elen.

— Cztery — dobiegło od strony młodej kobiety.

— Cztery-dziesięć — rzekła Elen.

— Ho, ho! — powiedział niski mę-zczyzna i przestał licytować.

— Pięć funtów — w głosie młodej damy brzmiała wściekłość.

— Pięć gwinei — odparła Elen.

Pani Jones pochyliła się do przodu, aby zobaczyć Elen. A Elen zaświtało w głowie, że nie tylko po to chce mieć ten kredens, żeby go dołączyć do mebli, ale również — jako pamiątkę po zmarłej staruszce. Po to, by mogła powiedzieć: „Kupiłam to na twojej licytacji, bo mi żal, że cię opuściły przyjaciółki”.

— Pięć funtów i dziesięć szylingów — oznajmiła młoda kobieta.

Elen zamierzała podbić cenę o dal-sze dziesięć szylingów, kiedy młoda ko-bieta — z głową zwróconą na bok — obrzuciła ją spojrzeniem tak błagalnym, jak to niekiedy robi pies, gdy ktoś koło niego zagwiżdże. Elen zo-stała tym sposobem pokonana i licy-tator przyznał kredens młodej damul-ce: za pięć funtów i dziesięć szylingów. Natychmiast wyszła, na nikogo nie pa-trząc.

Elen nie obchodziła reszta mebli. Po-zostawała jednak w dalszym ciągu w pokoju pogrążona w rozmyśleniach... Tuż koło niej na podłodze leżał niedbale poskładany, stary, zniszczony dywan. Elen zaczęła się wpatrywać w faldy... A te — przybrały wkrótce kształt no-sa, ust, czoła, i uszu... Przemieniły się w zwłoki spoczywające w grobie: ziemista cera, nieczule na wszelkie uwa-gi ciało kobiety. Nie związane z tym wszystkim, co właśnie sprzedawano w jej mieszkaniu. Oddzielone od przyja-ciół...

Przez długi czas wpatrywała się w tę twarz w nadziei na zmianę rysów. Sądziła, że na twarzy pojawi się uś-miech... Przecież mile ją wspominała... Ale nie pokazał się żaden znak... A po-tem do pokoju wszedł człowiek w cięż-kich buciorach. Przeszedł po dywanie i rysy twarzy zniknęły. Zdeptał twarz zmarłej...

Skończono wyprzedaż zawartości po-koju. Zanim mężczyzna zszedł z dra-binki, podeszła doń promienna, roz-koszna kobietka:

— Czy kupiłeś, kochanie, kredens?

— A gdzie-tam!... Jaką szansę moż-na mieć, spotykając te cholerne, za-wzięte baby?!

— W ogóle żadnych szans, mój dro-gi. Właśnie dlatego cię wysłałam. Chodź, kochanie, do domu. Kupiłam na podwieczorek lososia.

— To świetnie! Do konserwy z lo-sosia niepotrzebny kredens.

Uszczęśliwieni wyszli oboje. Schodki przeniesiono do drugiego pokoju.

— Idę do domu — rzekła Elen do przyjaciółki.

— A to dlaczego? Zobaczmy, co jest w pozostałych pokojach.

— Nie, nie mam ochoty. Za dużo dzia-siaj usłyszałam i zobaczyłam.

— Przykro ci, że nie kupiłaś kre-densu?

— Nie, nie o to chodzi... Zresztą, ci którzy kupili kredens, dopiero zaczy-nają urządzać mieszkanie.

— Co za egoizm!

— Oczywiście, że tak. Ale na licy-tacji każdy jest egoistą.

Przeszły do sąsiedniego pokoju, w którym miała się odbyć sprzedaż naj-rozmaitszych gratów i rupieci: starych dekoracji, obrazów, nawet nie rozpako-wanej bielizny pościelowej, przeście-radeł i koców o poplamionych brze-gach, a także — zapasów damskiej bie-lizny w nie tkniętych, oryginalnych o-pakowaniach.

— Co ja właściwie opętało — zapy-tała Marged — Dlaczego nie sprawiła sobie przyjemności, nosząc tę bieliznę? — dodała po chwili.

— Może pewnego dnia zamierzała to zrobić?

Dołączyły do nich przyjaciółki pani Hughes:

— Miała dosyć ubrań, żeby je zmie-niać nieco częściej — rzekła pani Jo-nes.

— Sza... — powiedziała jedna z ko-biet. — Tam stoi jej brat...

— Niby dlaczego miałby tego nie u-żywać? Bardziej do to nich pasuje. Gdy-by był inny, zabrałby stąd te wszy-stkie rzeczy zamiast pozwalać, by je zlicytowano.

Marged nalegała, żeby zostać do koń-ca. Weszły z Elen do bawialni, w któ-rej stał kredens. Już go stamtąd za-brano. Zabrano też krzesła i nie zo-stało nic oprócz zwiniętego dywanu po-środku pokoju. Znowu spojrzęła na twarz, którą w nim dostrzegła: stop-niowo zaczęła powracać. Twarz pani Hughes oglądającej pusty pokój. Rów-

nie obojętna co poprzednio. Choć tym razem — jakby w poczuciu odniesienia nad kimś zwycięstwa — z jeszcze mocniej zacisniętymi ustami. Elen podeszła do okna. Spojrzała na dywan. Oknem padały na podłogę promienie popołudniowego słońca. Pomyślała, że ktoś tak kiedyś urządzi ten pokój, że będzie wyglądał radosnie. Ponownie spojrzała na dywan. Wzruszenie było zmienione — usta uśmiechnięte...

Weszła Marged i zastała Elen wpatrzoną w dywan.

— Co się z tobą dzieje? Zie się czujesz? Błada jesteś jak przesćceradio. Chodź do mnie na herbatę. Obejrzałam całe mieszkanie. Nic tu nie zostało prócz kawałka mydła w łazience. Przy wyjściu zobaczyły brata pani Hughes w rozmowie z przyjaciółkami jego siostry:

— Świetnie poszło — mówił — Wszystko sprzedane po bardzo dobrych cenach.

Elen odwróciła się, żeby jeszcze raz popatrzeć na dom. W oknach wciąż wisiały zasłony i dom wyglądał tak samo jak wtedy, gdy w nim mieszkała pani Hughes. Jedynie ci, którzy właśnie zeń wychodzili, wiedzieli, że był to obraz fałszywy — obraz pustej muszli.

— Dlaczego milczysz? — spytała Marged znad filiżanki herbaty.

— Po prostu myślę...

— O czym?

— O pani Hughes...

— Bzdury! Jej już nie ma!

— Nie jestem tego pewna. Dziś po południu widziałam ją jak żywą. Żywszą niż kiedykolwiek za życia.

— Kiedy jeszcze żyła, wcale tak dużo o niej nie myślałaś...

— Tak, to prawda. Ludzie muszą umrzeć, żebyśmy ich zdążyli poznać.

— Gdyby nie była skąpa, to by jeszcze żyła. Pieniądzy miała w bród. Mogła zapłacić za pomoc.

— Widać życie stało się dla niej zbyt wielkim ciężarem...

— Nawet jeśli tak było, to bynajmniej nie musiało się tak stać.

— Kto to wie. Nie wiemy, co jest tym czymś... Tym najważniejszym, które nas gryzie...

— Mogła wydawać swoje pieniądze. Zobaczysz — jej brat z żoną zaczęli je teraz trwonić.

— Nie wykluczone. Ale nie sposób się dowiedzieć, jakiego to głupstwa zaczęli nam kiedyś brakować do tego stopnia, że nawet zapomnieli o wydawaniu własnych pieniędzy...

— Nigdy się nie dowiemy, co było raną, która w niej zaczęła się jątrzyć, zderając siły. Nie sądzę, że to była obawa, że ktoś zobaczy jej mieszkanie. Pokonana została jej kobiecość.

— Jesteś dla niej zbyt uprzejma.

— Wypada być uprzejmym dla zmarłych...

— Może i masz rację... Ale nie pojmuję, z jakiego powodu mamy się gnębić przez panią Hughes?

— Wszyscy jesteśmy z tej samej gliny...

— Nieważne, liczy się to, że dzisiaj żyjemy. Pij herbatę i weź jeszcze kanapkę.

John, mąż Marged, przyszedł z pracy do domu:

— Jak tam było na licytacji? Kupiłaś coś, Elen?

— Nie. Nic.

— Oddała kredens jakiegoś dzierlatce, która dopiero co wyszła za mąż.

— Masz dużo mebli, Elen. Kiedyś wszystko to pójdzie na licytację.

Zostawiła ich. Oboje będą ją obmawiać. Marged — tak beztraska jak zwłoki, które Elen dostrzegła w faldach dywanu — będzie się rozwodzić przed Johnem o licytację. Dla Marged była to jedna z wielu licytacji, okazja do zobaczenia ludzi. Nie do tego, aby ich poznać — zmarłych bądź żywych.

Wróciła do domu. W bawialni z lubością przyglądała się meblom. Każde z nich należało do pozostałych, a wszystkie — tworzyły całość. I tak powinną je zachować. John nie będzie się wypowiadał na temat jej mebli. Zaraz napisze do adwokata. Niech zmieni jej testament. Meble mają być przechowywane w magazynie, dopóki się nie rozleżą na kawałki. Jak zasłony pani Hughes.

Z walijskiego przełożył:
Jerzy Wieluński

3) Trzy funty, dwanaście szylingów, sześć penów.

KATE ROBERTS — starszej generacji eszowska powieściopisarka walijska.

Debiuty

Krzysztof Baran

Wyszczudlanie w wielkość

ze szczudeł wysokich
podniebnych
oglądam życie
tak piękne
i długie
dalekie
bez klód
u nóg
płynne podziwiałam
odchodzę
na szczudłach wysokich
przyziemnych

Zdecydowanie

dajcie mi pistolet
i sto naboju
tam stoi
sto osób
zdecydowanych
na wszystko
nie obawiajcie się
nic złego
sobie
nie zrobie



Rys. Zygmunt Stanisław Fylik

Dziewczynka przysypująca piach
z foremki do pustyni
Dzisiaj chowają jej ojca
nie wie.
Rozdaje ludziom uśmiechy
jak róże nietożne

Dziewczynka przysypująca piach
z pustyni do foremki
zakopuje umarłe wspomnienie
które jeszcze nie gnębi

Dziewczynka.
jeszcze nie wie
że i ona pójdzie do ziemi

I ja zdaję sobie z tego sprawę

Andrzej Rzedzicki

Dzień

Mówisz przeszedł dzień spokojnie
spójrz na tego psa, jest głodny
zaciągasz się papierosem i patrzysz
w przyszłość zza ciemnych okularów
mówisz — jakoś tam leci
uśmiechasz się
popijasz piwo, ba, smakujesz
karetka powoziła tego
co tu albo między
niezauważyłeś...
ja ciebie słucham
dlaczego?
pożycz pieniądze

JEŻELI
Spytany choć raz o imię swojego
Boga

JEŻELI
Nie będziesz odpowiedzi znał, spójrz
w lustro
i w nie patrz, zobaczysz jakiegoś
zamglone kontury

zapytasz, to moje odbicie czy nie?
JEŻELI
Nie będziesz zdolny odpowiedzieć
JEŻELI
Zapomnisz wyglądu twarzy swojej —
zginąłeś

Bowiem znać musisz własne swe
imię, aby móc odpowiedzieć
jakim imieniem zwie się twój Bóg.

KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI •

Pod znakiem prowincji

WE WSTĘPIE do wydanej ostatnio antologii poetyckiej „Modlitwa uroję szczęśliwych” Piotr Kuncewicz rozważa zjawisko wspólnoty regionalnej poetów. Wartość i atrakcyjność zamieszczonych w zbiorze wierszy widzi w ich odmienności, nie zaś przynależności do regionu: „A więc nie ma żadnego wspólnego mianownika, nie ma żadnej „szkoły zamojskiej”? Otóż jeśli jest, to polega właśnie na różnorodności, na uniwersalizmie poetyckich celów. Dzisiaj bowiem, czy tego chcemy czy nie chcemy odrębność i powaga środowiska liczy się nie wedle inwokacji do miejsca zamieszkania, nie wedle wspólnej szkoły poetyki, lecz wedle różnorodności, wedle odmienności właśnie”.

To stwierdzenie nie jest jednak całkiem przekonujące. Wbrew pozorom ów koloryt lokalny chyba istnieje, tylko na czym innym polega, niż zdaje się to rozumieć Kuncewicz. Po prostu nie pojawia się tylko w formie „inwokacji do miejsca zamieszkania”. Nie musi też wcale mieć charakteru anachronicznego. Należy chyba mówić o prowincjonalizmie jako zjawisku mającym swoją ciekawą tradycję w poezji polskiej, choć obecnie — zgodzić się tu trzeba — zanikającym.

Prowincjonalizm ów w poezji to przede wszystkim określona koncepcja rzeczywistości, to specyficzny mikroświat, w którym dominuje refleksja, zaduma i powracające motywy: prze-

mijania, zapomnienia, rozstania, śmierci, tajemniczości istnienia. Motywy te jednak występują najczęściej w postaci „oswojonej”, towarzyszy im bowiem właśnie „prowincjonalna” pokora wobec wielkości i tajemnicy świata. Czasami tylko daje o sobie znać niepokój, egzystencjalny niepokój prowincji.

Tej właśnie aury szukać warto w wierszach grupy „Zamoście”. Znaleźć można ją w wierszach J. H. Cichosza, w jego medytacyjnym oglądzie świata, lirycznym obrazowaniu: „dzwony szeroko wpływają w krajobraz / w otwarte okna pokojów pachnących snem”. Podobnie u Z. Dmitrocy w wierszu o Hrubieszowie i następnym, zaczynającym się od słów „długo trzeba dojrzewać by pojąć sens śmierci”; sporo tu ujawnia się tak bardzo na miarę „prowincjonalnego” stosunku do spraw ostatecznych, do śmierci, którą trzeba oswoić:

jakże Hugo trzeba dojrzewać
codziennie się bratać
by pojąć czym ona jest

O ile jednak wiersze obu poetów cechuje przede wszystkim nastrojowość, o tyle np. wiersze K. Konopki mają w sobie wiele więcej precyzji w samym opisie poetyckim, są bardziej klarowne w obrazowaniu: zanim ptak się rozskrzydli
lotem dzień rozsupła
póki co
[choć] hałas ledwie drzemie
w bruku

konnica starych domów
zamojskie podcienia
przystanęły znów w rynku
z jego dna chłód piją

Ale prawie we wszystkich wierszach „zamojskich” jest obecny ów niepokój, najczęściej związany z wpływem czasu, niepokój egzystencjalny, co, co zdaje się najsłabiej wyczuwalne właśnie w prowincjonalnym widzeniu świata, tej zamkniętej, dookólnej sferze życia. Trzeba jednak pamiętać, że jeśli już mówić o kontekście poetyckim, to daje się odczuć bardzo wyraźnie patronat Czechowicza, tego wielkiego „prowincjusza” poezji polskiej. Czasami (widąc to w powyższych cytatach) mamy do czynienia może nawet z zbyt wyraźnym odniesieniem. Generalnie rzecz biorąc, nie można jednak mówić o zjawisku naśladowstwa, czy jakiegokolwiek tradycjonalizmu. Są to bowiem wiersze, w których wyczuwa się wiele oryginalności i samodzielności w poetyckim rzemiośle.

Czytając antologię, umacniamy się — trzeba to na zakończenie powiedzieć — w przekonaniu o celowości, potrzebie istnienia i wydawania poezji małych środowisk, prezentowania ich swobodnej, autentycznej refleksji. Nie porównujemy ich wierszy do twórczości P. Valery'ego (vide Kuncewicz s. 5). Oddajmy sprawiedliwość ich prowincjonalnym zmaganiom ze światem.

Antoni Bednarek

Modlitwa uroję szczęśliwych. Antologia poezji grupy ZAMOŚCIE. Wybór i red. Adam Wiesław Kulik. Zamość 1982. wyc. Wojewódzki Dom Kultury w Zamościu.

W LEB!

Dokończenie ze str. 1

gwykłe, kupowali za zapas) powiedzieliśmy, jak bardzo potrzebujemy połówek świni, i że dlatego przyjechaliśmy wcześniej, a jutro rano samochód po nas z kolegą redaktorem... cholera jasna, wypchnęli nas na noc.

— A kto zarznie? — zapytał gospodarz i przyjrzał się pocięciu. — No, z kim to zrobisz?

— Może kto miejscowy?

— A, ty zawsze... — skarcił go. — Jak wiesz, po co jedziesz, babę wiesz... Nie miałeś tam chłopca z barami?

Poeta roześmiał się jak dziecko, unosił wywatowane ramiona, przez przypadek modne, bo marynarka cudza i powiedział: — Ale stryjku, ja nigdy nic normalnie... Nie mogłem przyjechać z niedźwiedziem, skoro ptaszyna się napraszała.

— Pijesz jeszcze? — zapytał stryj z pewnością w głosie.

— Tylko pod świeżyną — i sięgnął po torbę.

— Poczeka, moment, najpierw zarżniemy faceta — stryj wstrzymał calonocne pijaństwo i rozesał nas do zimnych pokoi, w których się nie mieszka; z drewnianymi łózkami na jasny orzech i kraciastą pościelą.

Sen spadł jak kamień. Ja, trzaskająca urodą i zdrowiem Hrabalowa, zawsze sama zwabiałam prosiaczka pod nóż, skrobiąc go lekko za uchem. Ach, jakbym już gryzła to ucho aksamiłne jak pola niedzielnego kabacika, a potem kawałek ryjka i ogonek stawiający pod zębami delikatny opór! Ja i stryj poety od razu wybudowaliśmy ponad miednicami z krwawą kiszka pomost zachwyty nad pysznie opalizującym mięsem, którego zapach i smak przemijał szybciej niż cokolwiek innego, co oboje mogliśmy sobie przypomnieć. Czy tylko będzie dość piwa w browarze, martwiłam się, patrząc na całe bogactwo, jakie mój prosiaczek nosił pod różową skórą...

Przebudzenie zawsze jest wydarzeniem niepotrzebnym i nieodwracalnym. A we śnie zapowiadało się jeszcze tyle dobrego. Tymczasem na wszystko było za wcześnie i za zimno, choć wygadało wstawać z ciepłego łóżka.

W kuchni nowego domu, z kawałkami luster wtopionymi w tynk, stryjanka zastawiała pustą fajerkę sagami z wodą. Zła uwijała się jak trzy brygady pracy socjalistycznej i przez okno popatrywała na stary dom, w którym uparł się mieszkać dziadek — hodowca świń.

— Bo tak — wołała — dawno było skończyć z tym wariactwem. Jak dziadek stuknięty, to zamiast się śmiać, świnię mu zabrać i motykę w rękę włożyć. A nie, on wielki hodowca! Docenta teraz nie da zarżnąć. Co mówię, panią Docent przecież. Mówię, dziadku, Magister nie ma swojej wagi, zostawić go. Dziadka nie znasz? — zwróciła się do męża — uparł się, żeby różną od najbliższego... A wiesz dlaczego? Wiesz? Wchodzę raz do niego, on już mieszka w sieni, mówię, dziadku niemożliwe ze świnią się mieniać na spanie, a dziadek tylko się śmieje. Patrz woła: lulu pa, Docent! Lulu pa! I świnią hyc na wyrko, aż ucho klapło jej na oko. To nie wierzy-

tef. A kto poprowadził świnię w ogród, żeby naukowcy pokosztowały zielonego? Ocknął się, jak na podwórzu była awantura z Bednarzami o buraki. No to teraz przekonaj dziadka, żeby dał Docenta.

— Dać Docenta do miasta — powiedział stryj do dziadka, który akurat wieształ czapkę na gwoździu we framudze drzwi. Dziadek nie spojrzał. Usiadł ciężko za kredensem.

— Docent bez uniwersytetu zmarnieje — dorzucił poeta.

Dziadek zapalił papierosa. Stryjenka chyba na cały świat patrzyła dzisiaj nieprzychylnie.

— No jak? — zapytała od komina.

— Róbta, co tam chceta — beznamiętnie zdecydował dziadek. — Po mojemu świnią inteligentna, ale nie za mądra.

Święte obrazy spod sufitu spoglądały na skład sędziowski, dokładnie przeżuwający chleb z boczkem i siorbiący herbatę.

— Świnią, zwierzę narodowe — zauważył poeta. Nie koń już, jak na Lachów przystało. Niestety...

Biznes Pani Ireny

Dokończenie ze str. 1

Szczęśliwa. Drobną, czarnowłosa, o szybkich oczkach i błyszczącym szminkowym uśmiechu. Lat 48. Od roku na wcześniejszej emeryturze w wysokości 6720 zł, ze wszystkim: rekompensatą, dodatkami i czymś tam jeszcze. Kazimiera Kurzyć, księgowa przez ćwierć wieku zawodowej kariery w PRL. Jej postać budziła zaufanie w każdej kolejce. Zapewne też owo zaufanie sprawia, że obywatelka Kurzyć wykonuje zadania poważniejsze niż Domańczukowa i Jaskółka. Jutro będzie się namierzać na łódzką „Mińsk 18” produkcji radzieckiej. Wiadomo, że dostawa ma przyjść na Krasową. Trzeba będzie stanąć już chyba o piątej. Pani Irena dała dwadzieścia tysięcy, w śmiesznych zielonych papierkach z Chopinem, do których Kurzyćowa nie może się przyzwyczaić. Karała się też wyuczyć nazwiska, imienia i adresu, które trzeba podać ekspedientce, żeby wypisała na rachunku, no i po to, żeby wiedzieli, gdzie odwieźć zakup. „Mińsk” kosztuje 18,5 tysiąca i jak się uda, Kurzyćowa będzie bogatsza o trzy i pół tysiączka, bo tyle otrzyma od Pani Ireny.

Agata i Krzysztof Dudziakowie pokonczyli studia, dostali mieszkanie i doszli do przekonania, że najlepiej pierze się w pracce automatycznej. Chodzili z tym swoim nieszczerzym kredytem „MM” i przymierzali się do kolejek na ten delikates. W końcu ktoś im doradził.

— Nie wierzyliśmy, ale ostatecznie co szkodzi spróbować? Poprosiliśmy tego kogoś, co nam radził, żeby ze mną poszedł. Przyjechaliśmy wieczorem, po pracy. Weszliśmy na drugie piętro i kolega zadzwonił. Pamiętam, że to było jakoś tak: „Ta-ta, ta-ta-ta”. Po jakimś czasie otworzyła nam elewancka, bardzo wysoka kobieta. Kolega wszedł sam, a ja zostałam na klatce schodowej. Potem ta kobieta ponownie wyszła i zaprosiła mnie do środka. Siedliśmy w pokoju urzędowym austriackimi meblami, które były parę lat temu po 120 tysięcy (dziś pewnie trzy razy tyle). Kobieta zapytała, czego się napijemy, i nie czekając na odpowiedź, zaproponowała kawę. Wyszła z pokoju i po kilku minutach wróciła z trzema filiżankami (chyba z porcelany miśnieńskiej) na srebrnej tacce. Wypiliśmy po tyku i ona zapytała: „Panie Krzysztofie, w jakim czasie zależałoby panu na tej pracce?”. To mnie zaskoczyło. Widocznie kolega musiał powiedzieć od razu, o co chodzi. No więc mówię, że jak by tak w ciągu miesiąca, to byłoby bardzo fajnie. Ona na to, że da się zrobić, i że koszty — jak powiedziała — operacyjne wyniosą 30%, czyli 8500 złotych. Zgodziłem się od razu, bo z ogłoszenia w „Kurierze” za polski automat „Śpiewają” po pięćdziesiąt tysięcy. Te osiem i pół zostawiłem od razu, a ona zapisała mój numer telefonu do pracy i powiedziała, że dzień

przed odbiorem zadzwoni i wtedy przyniesie jej należność za pralkę i transport do domu. Nie chciała znać mojego nazwiska i adresu. Powiedziała, że to jej będzie potrzebne dopiero dzień wcześniej. Zadzwoniła po trzech tygodniach i zaprosiła do siebie. Przyszedłem, przyniosłem 26,5 tysiąca. Następnego dnia, na krótko przed dziesięciem telewizyjnym, dwóch ludzi wniosło pralkę do naszego mieszkania. To wszystko. No może niezupełnie... Zamówiliśmy u Pani Ireny kuchenkę gazową z ruchomym rożnem... — kończy relację Krzysztof, magister prawa zresztą.

A w ogóle mówi o Pani Irenie w samych superlatywach. Styl, elegancja itd.

Józef Kufel, pracownik FSC, wydawał córkę za taksówkarza. Potrzeba było sto pięćdziesiąt butelek wódki. A tu gruzdzeń był i z pozakartkowym „gazem” kruchutko. Ktoś mu doradził. Kupił więc włączyć goździków, czyli w dzisiejszych czasach sztuk pięć, ubrał garnitur i poszedł z tym kimś do Pani Ireny. Rzecz załatwiono szybko. „Narzut” od butelki „Bałtyckiej” ustalono na 120 złotych, czyli sporo taniej niż na melinie. Józef wręczył Irenie osiemnaście tysięcy, a dzień przed zakupem zasadniczą część należności za towar. Wesele trwało trzy dni i „Bałtyku” jeszcze piętnaście butelek zostało. Nie zawadzają...

Wczesną wiosną 1981 roku, kiedy z talonami na samochody było cieniutko, pozostawał „ekspres”. I ten zresztą też się zaczynał kończyć. „Maluch” kosztował wówczas 180 tysięcy i chętnych do przyspieszenia były tłumy. Niektórzy załatwiali sprawę na podstawie zaświadczeń pracodawcy o tym np., że bez samochodu ani rusz nie mogą pracować i niechybnie rodzina zacznie przymierać głodem, jak tatuś nie będzie miał „malucha”. Jakoś przechodziło. Z trudem bo z trudem, się wleśkali się do „ekspresowej” kolejki. Innym natomiast pozostawało czatowanie w „Polmozytach” na ogłoszenie zapisów. W takiej właśnie sytuacji znalazł się Zenon Frankiewicz, stomatolog. Miał akurat trochę wolnego grosza i rozlatującego się „malucha” sześciolatka. Chodził, pytał, ale nic z tego nie wynikało. Któregoś dnia kolega zagadnął go, czy za dwadzieścia tysięcy nie chciałby się znaleźć na korzystnym miejscu w kolejce. Odrzekł, że owszem. Dalej rzecz rozegrała się przy kawie w atmosferze pełnej kultury i wzajemnego zrozumienia. W czerwcu 1981 roku Zenon F. otrzymał zawiadomienie z „Polmozytu” i następnie odebrał pojazd. Oczywiście — po wcześniejszym uregulowaniu należności, a jeszcze wcześniejszym skonstatowaniu, że istotnie jest na liście pod podanym, przez Madamę Irene, numerem. Genetycznie rzecz rozpatrując, jeszcze wcześniej, dwa dni po dogadaniu się, co do pomocy ze strony właściciela austriackiego kompletu mebli, wypożyczył jej na dzień swój dowód osobisty, a nazajutrz odebrał go od eleganckiego młodzieńca w tłumie oczekujących i kłócących się ludzi przy Drodze Męczenników Majdanka. Był już wtedy zapisany i chodziło tylko o formalność porównania fizjonomii Zenona F. z dowodem. „Maluch” chodzi dobrze.

Jan Domańczuk, siedemdziesięcioletni emeryt ze starego portfela. Pali tanie papierosy, które nazywa „machorą”, pije taną wódkę, którą nazywa „zajzajerem”. o żonie nie powie inaczej niż „baba”. Emerytury na siebie i swoją ślubną inkasuje 5200 złotych. Jan jest mężem Adeli, a poza tym ma zasady.

— Ja bym tej kurwie nogi z dupy powyrwał, albo leb ogolił, jak za Niemca, albo... no... A w ogóle to pies jej mordę lizał i jeszcze coś... No tego... jej. Sam pan wiesz...

— Pleprysz stary i nie solisz. Puknij się w leb, ty fujaro. Nie gadaj byle czego — ripostuje znad garnka z wodą, kością wołową, dwiema marchewkami i jedną pietruszką Domańczukowa. — Polazbyś lepiej po kartofle do piwnicy...

A do mnie:

— Pan go nie słucha. On w głębie tylko taki gieroj. Jak mu proponował taki jeden, żeby wziął do domu chałupnictwo, to się wściekł i pogonił gościa. A tu wymawia, cholera! Gdyby nie Pani Irena, to byśmy chyba zdechli z głodu. No niech pan pomyśli... Niech ja tak pójdę w kolejkę tylko raz na tydzień (a lażę i do dziesięciu razy w miesiącu), to mam półtora tysiąca dodatkowo do tej emerytury, pozał się Boże, gównianej. Co robić? Człowiek przywykły od małego do chodzenia i roboty, no i do tych kolejek, to jakoś sobie da radę. Stoi się, panie, rozmawia z takimi samymi kobicinami i czas jakoś zlatuje. A to o dzieciach, a to o wnukach, a to o sąsiadach. I tak ogólnie... On tam wściekły, że niby Pani Irena zarabia więcej ode mnie i innych, co do niej po robotę przychodzi. Głupi on, ten mój chłop. A ktoś by o mnie przyszedł, żeby co wystać? A ktoś by o mnie wiedział? A tak idę do Pani Ireny i biorę robotę. A to buty, a to wódka bezkartkowa, a to kosmetyki, a to żarówki, a to budziki. Ostatnio nawet karnety do kina. Jakoś człowiek dorobi te dwa, czasem dwa i pół tysiączka. No i żyje... — spogląda w garnek. Zaraz dodam magi — dorzuca.

— Nie słuchaj pan głupiej baby — mruczy stary. — Ja tam mówię, że leb trzeba kurwie ogolić i już.

Człapie do szafy po „zajzajer” i dwa kieliszki. — Jak taka mądra, to dziś nie dostanie. Sami strzelimy, panie dziejku...

Docent ekonomii słucha mnie z pewnym roztargnieniem.

— Widzi pan, ja wcale nie byłbym za tym, żeby tę Panią Irenę zlikwidować, zliczować. Z ekonomicznego punktu widzenia rzecz jest nie taka skomplikowana. P. Irena stanowi narzędzie rynku, jaki został stworzony w naszym kraju. Mam na myśli rynek faktyczny, a nie deklaracyjny, antycypowany, wydumany. Owa osoba wypełnia skutecznie lukę między handlem oficjalnym, a spekulacjami bazarowymi. Bierze ze swoje 30-35% zysku, z czego zapewne około dwudziestu trafia do jej pugilaresu. Rzecz przy dość szerokiej — jak rozumiem — i wielostronnej działalności jest bardzo opłacalna. Głównie jej atuty to duży popyt na takie usługi, zarówno ze strony potencjalnych nabywców, jak i „staczy”. Dochodzi jeszcze

— Jakbym powiedział ci, co potrafi nasz pan naczelnik...

— Koń zwierzę szlachetne może być pełnej krwi — rozważał poeta. — Jednakowoż salcesonów z niego nie zrobi.

— Gadanie — odsunął swoją szklankę stryjek. — Jak ten wasz redaktor przyjedzie z miasta, trochę się zdziwi, że świnia chodzi...

I tak było, zwłaszcza, że redaktor miał na dodatek pomagać przy biciu.

— Przebierz się pan w co — zaproponował mu stryj, gdy ten wciąż podejmował dawno podjętą za niego decyzję i jak prawdziwy mężczyzna niezmiernie pachniał „Old Spice'm”. — A czy pan mnie aby od krwi nie zemdleje? — zaniepokoił się przez chwilę stryj. — Bo są chłopcy, co padnie i nie będzie zabijał.

Posłaliśmy do starego domu, skąd Docent został wywleczone bez poszanowania za uszy i ogon. Stryj najpierw przywiązał mu linkę do tylnej nogi i dał stryjence do potrzymania, potem do przedniej z tego samego boku, i obie linki skrzyżował. Klęknął na świnie, tą samą linką związał jej nogi na krzyż. Przeniesiono Docenta na wagę, a kiedy ułożono go na drzwiach obory — kwik sięgnął nieba i trwał w nieskończoność. Stryjenka z naszymi trzymali za tylne nogi, stryj majdrował nożem pod gardłem Docenta. Czas stał się nieprawdopodobnie szklany i nierealny.

Żeby krew nie była bura, świnia odawiała ducha powoli. Stryj podłubował nożem lub przyciskał otwór palcem — ponaglał lub powstrzymując odejście Docenta w zaświaty. Było zimno, każdy z nerwami nie najlepiej, trochę krwi zmarnowało się w błocie. Stryj klął i cienkim strumyczkiem wyduszał resztki życia ze słabnącego ciała. Z wdzięcznością wsłuchiwałam się w niknący charkot.

Polewanie ukropem i czyszczenie było już obrządkiem moralnie obojętnym, a nawet niezbędnym. Stryj sprawnie przeciął ścięgna, przewiółł przez nie orczyk, przyczepił łańcuch. Owoc niehumanitarnych praktyk zawisł głową w dół, z belki w drzwiach stodoły. Na nieckę wyleciały spod noża podroby.

— Nitkę — warknął stryj, coś tam podwiązał, naciął i rzucił psu pod budę. — To jest cały ten interes, o co my mężczyźni tak się bijemy — oświadczył i zaczął strasznie rozrąbywać świnie, aż zostało tylko wąskie złączenie u góry. — Na ramiona — zarządził. — A pan redaktor niech się nie boi przytulić do świnie. — I jednym uderzeniem rozdzielił połowy, które ciężko opadły na grzbiety pomocników.

Dzielenie ćwiartek w letniej kuchni nie było już niczym nadzwyczajnym. Poeta odkręcił butelkę i czekał jak mistrz ceremonii.

W kuchni pachniało przesmażoną wątróbką i podgardłem z dużą ilością cebulki. Był to ten zapach, który moż-



Foto: Waldemar Stępien

na powtórzyć przy następnym świnio-biciu, albo we śnie. Kiedy wszyscy usiedli, nasz pomocnik pił alkohol niczym lekarstwo, którego skuteczność wyłącznie zależała od ilości.

— Jakbym to ja był bohaterem, a nie ta zamordowana świnia — usprawiedliwiał się.

— Co wypijemy, to nasze — rozgrzeszał go stryj. — I co zjemy, też. Na razie jeszcze się bije na sprzedaż, ale w przyszłym roku tylko dla siebie. Głód zacznie się w czerwcu, panie. — Wypijmy pod głód — rozkosznie powiedział poeta i poprosił o dokładkę świeżyzny.

Anna Bocian

dostęp do informacji (co, gdzie, kiedy będzie), co u nas da się zawsze załatwić i mamy kolejny przykład polskiej reformy rynkowej. Chciałabym zauważyć, iż wybrany przez P. Irenę model działalności rynkowej jest bardzo skuteczny, bo jej zyski jednorazowe są stosunkowo małe, ale systematyczne. Tu mi się przypomina, jak kiedyś w Łodzi podszedł do mnie na dworcu taksówkarz warszawski („Mercedes 220 D”) i zaproponował przejazd do stolicy po cenie biletu I klasy pociągu pospiesznego (wtedy: 150 zł). Oczywiście przystałem na to. Obok mnie jechały jeszcze trzy panie. Po drodze zastanawiali się głośno, czy to się opłaca przewoźnikowi. Odparł, że tak, bo robi dziennie trzy kursy tam i z powrotem (6 X 4 X 150 zł = 3600 zł), nie musi krążyć po mieście, spała mniej rano, mniej się męczy, a zysk taki sam, jak by jeździł od rana do wieczora po Warszawie. Po prostu systematyczność działania!

Chcę też zwrócić uwagę na istotny aspekt psychologiczny procedury P. Ireny. Nikt z jej usługobiorców (kupujących i „staczy”) nie jest zainteresowany, aby ta działalność została zakończona (np. interwencją MO, prokuratury). Jednocześnie taka działalność jest bardzo trudna do udowodnienia, bo każdy jest tu współodpowiedzialny. Chyba, że w efekcie „podstawienia” jej kontrahenta, ale ci są poniekąd wprowadzani przez innych już znanych ludzi, co jest dodatkowym zabezpieczeniem.

Reasumując jest to jeszcze jeden sygnał wskazujący, że koncepcje reformy gospodarczej i rynkowej w Polsce wymagają pilnych korekt, zmian i uzupełnień.

Mądrze i naukowo.

Próbowałem docierać do Pani Ireny przez „staczy”, ale ani Domańczukowa, ani Jaskółta nie chcieli mnie z nią skontaktować. Kurzyciowa wyjechała do sanatorium. Reguła jest prosta i przejrzysta: „nadać” klienta może tylko znajomy. „Stacz” zaś i były klient, a znajomy są to zupełnie różne sprawy. Wcale nie musi być tak, że ten kto kupił kiedyś „u Pani Ireny” odkurzacza, może sprowadzać jej następnych chętnych. W końcu udało mi się skontaktować z Panią Ireną dzięki uprzejmości matki kolegi z klasy, która niejako podżyrowała oferowany mi kredyt zaufania. Nie tała przed wizytą, że podchodzę do sprawy zbyt sensacyjnie, odkrywam rzeczy normalne, drzwi do lasu wyważam.

Ze wspomnianej wizyty w domu Pani Ireny (obligowany udzielonym mi kredytem) mogę podać tylko, że: 1) jest kobietą robiącą wrażenie; 2) istotnie posiada pokój stołowy umeblowany „w Austrii”; 3) porcelana filiżanek nie jest miśnieńska, a holenderska; 4) ma również japoński telewizor kolorowy „Sony”; 5) jeździ „maluchem”.

Na bezcelne pytanie, czy lubi pomagać ludziom, odpowiedziała, że nasłuchiwała się rzeczy przesadzonych, bądź nieprawdziwych. Zaproponowała mi również dwa tematy. Pierwszy o grabieniu paczek przychodzących z zagranicy (wskazując adresy: poczta i PKP). Drugi o „przecepkach” darów zagranicznych na bazy, do komisów, ajencyjnych sklepów i lokali. Ponadto stwierdziła, że mamy wyjątkowo ciepłą zimę i że pogoda nas wyraźnie oszczędza w odróżnieniu od Reagana. Spotkanie trwało czterdzieści minut, czyli, jak kaže savoir vivre, nie przekroczyło trzech kwadransów. Była to bowiem pierwsza wizyta.

Michał Rey

P.S. Nazwiska i imiona zostały zmienione.

Miłosz za sześć „paczek”

Dokończenie ze str. 5

ejach naprawdę „wystrzałowych”, głównie zagranicznych — typu „Lot nad kukułczym gniazdem”, „Dziela Navarony”, „Pogoda dla bogaczy”, gdy istnieje uzasadniona pewność, że film czy serial rozbudził „na stałe” zainteresowanie publiczności — sukces zapewniony jest niejako z góry i nie trzeba zbytnio się spieszyć. Czasami nawet wskazane jest przeczekać, bo od razu po wydaniu trafia na „czarny rynek” dużo egzemplarzy poszukiwanego bestsellera, które z konieczności mają niższą cenę; później, gdy egzemplarzy tych jest już mało, cenę można dowolnie podnosić. Kryterium „filmowo-telewizyjne” ma kapitalne znaczenie dla doboru pozycji i cen bazarowego rynku, ma ono cudotwórczą siłę ożywienia i sprzedawania niczym bestsellery takich „trupów” literackich, jak np. „Saga rodu Forsytów” czy „Noce i dnie”. Powieści-rzeki są bowiem ulubionym pokarmem seriali telewizyjnych, a serie te są ulubionym pokarmem szarych obywateli, którzy kupują książki.

Istotną grupę czynników wpływających na cenę czarnorynkową książek stanowią te, które wynikają z bezpośredniej praktyki handlowej i bezpośredniego kontaktu z nabywcami, zresztą sprzedawcy bazarowi przeważnie korzystają tylko z tego źródła, ono dostarcza wszelkiej informacji i wskazówek dotyczących organizacji sprzedaży, cen i doboru książek. Tę grupę nazwałbym czynnikami „praktyczno-psychologicznymi”. Tu wszystko zależy od indywidualności sprzedawcy i tyłu najrozmaitszych spraw, że prawie niemożliwe jest wysnuć jakiegokolwiek ogólnego modelu. Do czynników „praktyczno-psychologicznych” należą np.: czas sprzedaży i częstotliwość kupowania, warunki atmosferyczne i pora dnia, nastawienie sprzedawcy, miejsce sprzedaży, pochodzenie i stan książek, wreszcie — wygląd i zachowanie kupującego. (Pewien znany mi łysy sprzedawca zwykł był odpowiadać na pytania studentów o cenę wystawianych przezeń książek po prostu: „za droga...”). Wiele zależy także od tego, czy sprzedawca rozpoznaje nastawienie kupującego — przecież, gdy zobaczy radość i pożądanie w oczach klienta, od razu podniesie cenę, a z uwagą i ostrożnością będzie kalkulował, gdy skonstatuje zainteresowanie średnie lub lekkie.

To ostatnie kryterium ma znaczenie przede wszystkim w stoiskach raczej antykwarycznych, czyli tam, gdzie znajdują się różne książki i jest ich dużo. W stoiskach bazarowych, u „rekinów”, książek jest mało, ale za to są same „czarne konie” a ceny — raczej „stałe”. Czynniki praktyczno-psychologiczne odgrywają tutaj mniejszą rolę i tylko modyfikują cenę, choć te modyfikacje mogą zachodzić w granicach 1—2 „paczek”.

Ceny na „czarnym rynku” księgarskim są — jak wiadomo — bardzo wysokie. Większość klientów uważa je za przesadzone, choć łatwo się przekonać, że ludzie kupują tutaj książki. Średnio co dziesiąty klient kupuje (odliczając przypadkowych przechodniów, którzy przyszli tu po salatek). A to się opłaca, bardziej niż księgarni. Bo, mimo że bestsellery kosztują 6—10 razy drożej i han-

diarz ma 6—10 razy mniej książek niż wynosi przydział bestsellerów na średnią księgarnię, to jednak ma on wyłącznie bestsellery i tylko nimi obraca, podczas gdy księgarnie otrzymują do dyspozycji „rarytasy” tylko raz lub dwa razy w tygodniu (a prawdziwe bestsellery raz na dwa lub trzy tygodnie). Tak więc posiadający kilkadziesiąt pozycji „czarnorynkowy” sprzedawca zawsze będzie w lepszej sytuacji handlowej, niż księgarnie zasobni w kilkaset czy kilka tysięcy książek.

„Czarny rynek” księgarski nie powinien oczywiście istnieć przy sprawnie funkcjonującym rynku wydawniczo-księgarskim. To, że istnieje, jest najlepszym dowodem złego funkcjonowania rynku oficjalnego.

„Czarny rynek” nie jest rynkiem antykwarycznym, choć oficjalnie i prawnie jako taki funkcjonuje; jest on wtórnym rynkiem księgarskim. Pozbawiony zbędnego dlań bagażu wszelkich zobowiązań wobec autorów i polityki kulturalno-propagandowej, kłopotów z kooperacją, papierem, farbą, drukiem itd., działający bez błędów zawsze źle zorientowanych „fachowców od rynku”, działający po prostu sprawnie i skutecznie, jest „czarny rynek” wartym naśladowania przykładem dużego wyczucia, elastyczności, prężności, rentowności, operatywności itd.

W 1767 r. Diderot pisał: „Błąd popełniany nieustannie przez tych, którzy kierują się ogólnymi regułami, polega na stosowaniu zasad manufaktury tkanin do wydawania książek. [...] To, co pozostaje z niemodnej tkaniny w sklepie z materiałami, posiada [przecież] jeszcze pewną wartość. To, co pozostaje ze złej książki w księgarni, nie posiada żadnej”. Sklepy z materiałami w Polsce, tak zresztą jak wszystkie inne, są dziś puste, bo ludzie kupią każdy skrawek materii — tylko księgarnie wciąż są pełne, bo ludzie nie kupią żadnej książki. A jaką kupią i jak chętnie (tzn. za ile), o tym najlepiej wiedzą handlarze bazarowi.

Wydawcy i księgarze mogliby wiele nauczyć się „na Wolumentie”, „na Hali”, pod Arkadami czy na bazarze Rózyckiego. Często ma się jednak wrażenie, że są oni raczej lunatykami zamkniętymi w wieżach z kości słoniowej, którzy nie wiedzą o czytelnikach, a do księgarni zagląдают raz w roku. Bo przecież wiadomo, że nasze księgarnie są pełne, półki aż uginają się pod opasłymi tomami — choć najżywiej handluje się spod lady. Księgarnie ożywają się tylko wtedy, gdy nadchodzi nowa dostawa; pracownicy nie trują się wtedy nawet ustawianiem niektórych książek na półkach, kładą je stosami na ziemi i sprzedają kolejce tylko po jednym, góra dwa egzemplarze, jeśli jest dużo. Kolejka ustawia się błyskawicznie, temperatura wzrasta, niektórzy próbują stanąć po raz drugi na końcu. Bo przecież pewne książki liczą się na wagę złota. Ale z kilkuset egzemplarzy każdej dostawy tylko kilkadziesiąt tak się sprzedaje. Reszta książek wędruje na półki; sprzedawcy mają cały dzień na równe zapelnianie nimi regałów swojej księgarni.

Krzysztof Stanisławski

Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bąd nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Zyclozysy” popularnych roślin ziołowych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawalki pt. „Historie ziołowe”, która w roku 1982 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Lubczyk ogrodowy

Marian Janusz Kawalko

SZKODA, iż pisarze starożytni mało się botanicznymi opisami roślin zajmowali, przedkładając nad nie cechy zdrowotne poszczególnych gatunków. Spróbujmy jednak w sprawie lubczyka (*Levisticum*) cokolwiek ustalić. Teofrast (372–287 r. p.n.e.) o roślinie tej nie pisał, a przecież trudno mu zarzucić brak wiedzy przyrodniczej, przynajmniej teoretycznej. U Pliniusza wzmianki nader krótkie, w rodzaju: „Ligusticum rośnie dziko w górach swojej Ligurii i rozmnaża się wszędzie. [...] Lubczyk (inni zowią panacem) pożyteczny jest także na żołądek”.

Nowsze, wiarygodne wzmianki o lubczyku ogrodowym pojawiły się dopiero za czasów Karola Wielkiego (wiek VIII/IX). Syn cesarza, Ludwik Pobożny, w ostatnim z „Rozporządzeń dla posiadłości wiejskich” nakazywał uprawę „Levisticum” na terenie własnego — królewskiego — ogrodu.

Italski agronom — Piotr Krescentyn, żyjący na przełomie wieku XIII i XIV, zanotował w „Księgach o gospodarstwie”, iż „lubszek jest ziele ogrodne, które sieją i sadzą tak dla lekarstwa, jako dla pożywania ludziom i bydłu. Wszakże w lekarstwo nasienie wchodzi albo korzeń, a nie ziele” (tłum. A. Trzycieski, 1549).

W XV wieku uprawiano lubczyk ogrodowy (*Levisticum officinale*), traktując go jako jeden z surowców fitoleczniczych. Przepiszenie to zdaje się potwierdzać anonimowy tekst polskiego poety z XV stulecia pt. „Rozmowa mistrza Polikarpa ze śmiercią”. Bohater tej dydaktycznej rymowanki,

zcerpiący jakby z kultury zachodnioeuropejskiej, wysłuchuje takiej oto ponadczasowej przestrogi:

przeciu śmiertelnej szkodzie
nie nadydźcie ziela w ogrodzie,
Darmo pożywasz lubszeczka
juści zgotowana deszczka;
nie pomoże kurzenie piotyna,
Gdy przydzie moja godzina;
nie pomogą y szatulle —
wszystko śmyrę bez tuğu zmyla.

Nieco więcej informacji o sposobach wykorzystania *Levisticum officinale* zawierały polskie zielniki epoki Renesansu. Były one jednak — o czym niedokrotnie nadmieniałem — z reguły dziełami kompilacyjnymi, opartymi głównie na znacznie wcześniejszych manuskryptach łacińskich i arabskich, więc aktualności zawierały raczej mało. Od Falim(e)ra wiemy, iż we włoskiej Ligurii nasion lubczyka używano jako przyprawy zastępującej pieprz, zaś korzeń miał być pomocny na bóle wątroby oraz jadowite ukąszenia.

Wiarygodną i aktualną w sumie wiadomość o lubczyku-bylinie przekazał dopiero Szymon Syreniusz: „Lubczyk swojski, albo pospolity nasz, znajomysz jest wszystkim, nie tylko miejskim, ale i wiejskim ludziom, a niżliby się o nim pisać miało [...] Kochają się jakmiar (niemal — dopisek M.J.K.) wszyscy gospodarze niepomalu w tym ziele, dla rozmaitych skutków jego do wielu chorób. Przewo w najniebezpieczniejszych ośrodkach nie trudno o nie, gdyż też korzeń jego i do dwunastu lat w ziemi nie wyniszczeje”. Wedle krakowskiego lekarza i naukowca — młode, wiosenne pędy byliny były czasem dodawane do salaty (surówka) lub sosu ziołowego.

Wśród różnych porad Syreniusza jedna, o charakterze profilaktycznym, warta jest przytoczenia: „Górnikom, którzy kruszce z ziemi biorą, przeciwko górnym smrodowi i parom, każdego dnia po pół łyżki korzenia lubczykowego drobno nakrajawszy, dać trunku wina wypić, gdy się w góry puszczają, jest im bardzo użyteczne”. Zdaje się, że o tym nasi muzealnicy od mineralogii nie czytali.



Rys. Maria Tyzenhaus

O tak znamienitym panaceum nie wypada jednak mówić zwyczajnie, bez dreszczyka emocji... Jeśli zioło nie ma tradycji magiczno-astrologicznej, to koniecznie trzeba ją wymyślić. Czytamy więc u Syreńskiego, iż woda lubczykowa skutecznie usuwa różne niedostatki urody tylko wówczas, jeśli jest stosowana zewnętrznie „po pełni księżyca na trzeciej kwadrze”. Wykopywane zaś korzenie — to zabieg ryzykowny, grozący utratą zdrowia, gdyby przeprowadzać go przy niewłaściwej konstelacji planet. Mniemam, że owe przepisy krążyły od lat wśród prostego ludu, zaś „Syreni polski” jedynie je zanotował.

Można by pożartować z dziekana Akademii Krakowskiej, ale inna, wcale nie śmieszna, mi się akurat refleksja nasuwa. Oto herbarzysta, chcąc nie chcąc, przetrzuca pomost między Średniowieczem a Oświeceniem, zapowiada epokę, w której zabobon pomiesza się z wiedzą naukową.

Staropolska kuchnia, zarówno wielkopańska jak i ludowa, nie zaakceptowała lubczyka-przyprawy. Uwagi Syreniusza o spożywczym wykorzystaniu rośliny dotyczyły zapewne innych kuchni europejskich (włoska, niemiecka, może ruska). Dość często natomiast ziele lubczyka dodawano u nas do kapieli, wierząc, iż takowe „ciasto chędogie, subtelne i gładkie czynią”.

Niemiecka fitoterapia ludowa stęgała czasem po bylinę jako surowiec do plastrów skutecznie gojących rany. Częściej jednak uważano lubczyk za niezłą paszę dla bydła. W manufakturach sproszkowany korzeń stosowano do produkcji... pudrów kosmetycznych.

Zauważmy, że wcześniej jeszcze tu i ówdzie surowcem tym aromatyzowano pewne wina lecznicze, zaś mieszkańcy Piemontu zażywali liści w formie jarzyny gotowanej.

O wykorzystaniu gatunku w ludowej kulturze słowiańskiej (materiałnej) wiadomo, że wodny odwar ze świeżego ziele był dość powszechnym środkiem stosowanym do dziś jako „napój miłosny” (kult falliczny). Również celem pozyskania uczucia drugiej osoby noszono w zanadru suszone liście, zaś kąpiele lubczykowe miały dzieciom zapewnić na przyszłość powszechnie powodzenie i uznanie. Przyrządzano z lubczyka napoje alkoholowe, podawano przy różnych chorobach zakaźnych. W tym celu ordynowano także — do bezpośredniego spożycia — surowy korzeń.

Nie od rzeczy będzie wyjaśnić, że wyciąg z korzeni tej byliny — co nieczęsto jest podkreślane — daje w małych stężeniach bullionową woń i posmak. Dlatego już przed wojną stosowano go jako jeden z komponentów płynnej przyprawy „Maggi”.

Współcześnie w technologii kulinarnej mają zastosowanie tylko młode korzenie, czasem liście zioła — zarówno w postaci świeżej oraz suszonej. Zaleca się dosmakowywać nimi między innymi:

- zupy na wywarach kostno-jarzynowych;
- różne wytrawne sosy;
- potrawy duszone i gotowane z ryb lub warzyw;
- pieczone mięsa, drób;
- gulasze;
- surówki i salatkę warzywną.

Z moich doświadczeń wynika, że interesujące efekty smakowo-aromatyczne rosółów lub zup na tych rosółach uzyskuje się przez dodanie do nich rozdrobionego grubo korzenia lubczyka, w połączeniu z korzeniem biedrzeńca mniejszego, owocami kolendry siewnej oraz zieleciem angielskim i liśćmi laurowymi. Natomiast dodatek siekanych korzeni lubczyka i biedrzeńca do tradycyjnej zalewy, marynującej pieczarki, zapewnia im korzenny posmak, bardzo przychylnie oceniany przez konsumentów. Doświadczalnie stwierdziłem również, że powyższy skład przypraw, uzupełniony niewielką ilością nasion gorczycy jasnej, owoców łąwca, kolendry, oraz liści rozmarynu, stanowi bardzo cenny komponent zalewy pekującej mięso (szczególnie wieprzowe). W ten sposób można zmniejszyć wielkość dawki azotanów sodowych, przy czym naturalna barwa tkanki mięśniowej zostanie zachowana przez okres miesiacca i dłużej. Temperatura takiej zalewy powinna być bliska 0°C, zaś naczynie z marynatą należy przetrzymać pod przykryciem. Wszystkie zioła zalecam stosować w formie suszu.

Cokolwiek by powiedzieć jeszcze o bylinie i jak by ją nazwać („góra achajska”, „selerowe ziele”, „rosółowe ziele”), nie zmienia to faktu, że czeka ona nadal na kulinarny renesans, godny jej wartości.

Poczta literacka

Jeremi W. Lublin. Zdaje mi się, że wszelkie wady Twoich wierszy (mój nadawca skończył 13 lat) mieszczą się w utworze pt. „Cudowne dziecko raju”. W nim dla rymu poświęcasz właściwie sens, piękno, samą poezję. Szczególnie źle to brzmi, gdy końcówkami linijek są czasowniki i imiesłowy. A zalety? Może w takich wierszach, jak ten zaczynający się od słów: „Siedziałem z tobą”. Gdzie doznania i treść przeżyte są bogatsze, tam mniej taniecisz, o której przed chwilą.

Do dalszego pisania, oczywiście, zachęcam. Potrzebna bezpośrednia rozmowa.

Beata B. Lublin. Właściwie podobne zażęty i pochwały co koledeże mogą przedstawić Tobie. Zalecam oszczędność słów, powściągliwość w powszednich narzaniach. Czy nadal pisać? Przecież dopiero zaczął pisać, bo z tym Ci zapewne lepiej.

Marek S. Olsztyn. Pisze Pan: „Niepomny na Pańską odpowiedź (dziękuję, dziękuję), przesyłam nowy zestaw wierszy. Prawda, że są aż nadto poprawne?” Jeśli postuży się wersem z utworu pt. „List”, „pasuje jak ułaj do Ciebie” — koniec cytatu. Rzeczywiście, są to wiersze poprawne, ale nie jak te poprzednie, są po prostu lepsze. Czemu jednak „zaszczyca” Pan nas jedynie kopiami, czyżby inne redakcje wydały się Panu godniejszą?

TJ

Ekran i widz

Powroty

OD KILKU tygodni składamy w niedzielę wizytę w filmowym świecie naszych rodziców i dziadków, w celuloidowym imperium snów i języczku Los Angeles zaczęła nagle robić na początku bieżącego stulecia oszalałą karierę; bo też spadała na nią inwazja ludzi niezwykłych, niepozycjonalnych i nieposkromionych w afekcie do zrodzonego niedawno zjawiska z pogranicza rzeczywistości i sennego marzenia — kinematografu. Hollywood było światkiem nieprawdopodobnych namilności ludzkich, nagłych wzniołów i upadków artystycznych, widziało, jak z dnia na dzień powstawały lub waliły się w gruzy finansowe imperia, uczestniczyło w romansie Pola Negri i Rudolfa Valentino, składało życzenia ślubne Mary Pickford i Douglasowi Fairbankowi, kłoniło głowę przed talentem Griffitha i osobowością Chaplina. Tutaj narodziło się niezwykle uczucie pomiędzy Gracją Garbo i Johnem Gilbertem, drogami wśród zaroił ostrokrzewu mknęły eleganckie limuzyny Glorii Swanson, tu rozkwitała nieokleśniana wyobraźnia Ericha von Stroheima...

O tym wszystkim opowiada telewizyjny serial „Hollywood”, zrealizowany przez dwóch doskonałych brytyjskich dokumentalistów — Kevina Brownlowa i Davida Gilla.

Na temat początków sztuki filmowej powstał już niejedyn serial. Ten jednak jest dziełem zupełnie wyjątkowym. Może m.in. dlatego, że zrobił go twórca „z zewnątrz”, reżyserzy patrzący na podjęty temat z odpowiedniego dystansu i przez pryzmat doświadczeń kultury europejskiej. Wprowadziło to od razu określenie „optyka-widzenia” i zadecydowało o takiej, a nie innej selekcji materiałów wyjściowych. Dzięki temu — a przede wszystkim dzięki osobowościom artystycznym Brownlowa i Gilla — „Hollywood”, będąc z założenia „historycznym serialem”, stał się — stosując miarę pisarską — dziełem artystycznym, usytuowanym gdzieś pomiędzy historycznym esejem a reportażem literackim.

Kiedy pomyśli się, przez jakie kontynenty materiałów archiwalnych, złożonych w przespanych magazynach Hollywoodu, musieli się przekopać reżyserzy, aby dobrać od-

powiednie kawałki taśmy do swych oryginalnych i odkrywczych opowieści o pierwszych filmowych statystach czy też nieustraszonych kaskaderach, o ekranowych kochankach i romantycznych rycerzach bez skazy — ogrania człowieka zdumienie połączone z zachwytem i... przerażeniem. Ale jeszcze większy podziw budzą Kevin Brownlow i David Gill swą umiejętnością odszukiwania świadków tamtej epoki, ludzi kina, którzy byli wielkimi bohaterami filmowymi, lecz także tych, którzy grywali swoje role na dalekich, prawie niezauważalnych dla widza kinowego, planach. Nie wszyscy zamieszkałi później na eleganckim Bulwarze Zachodzącego Słońca i niełatwo dzisiaj o ich szare, nie nikomu nie mówiące adresy...

Magla kina opętała przecież również mocno tak jednych, jak i drugich. Ten sam błysk zapala się w oczach dystygnowanej Glorii Swanson czy Agnes de Mille, jak w zreniech emerytowanego kaskadera czy pomocnika operatora, gdy mówią o latach swej młodości, która była zarazem młodością kina. Wszyscy kochali kino i wszyscy poświęcili mu się na całe życie bez reszty. Różniły ich skądnie talenty i... zarobki — od zawrotnych sum po nędzne grosze. Ale pod jednym wszakże względem tamto dawne kino wszystkich ich równało: pracowali w sposób morderczy. Eksploatowani byli do ostatnich granic zarówno ustawicznie dekoracji, jak i największy gwiazdorzy, i nie mieli o to pretensji, kino to było ich życie.

Oglądając „Hollywood”, zaglądamy się w krajinę snów i marzeń. Ale Brownlow i Gill oferują zarazem nie mniejszą porcję prawdy. Prawdy o ludziach. O tych wszystkich starych aktorach, dziennikarzach, reżyserach, operatorach i statystach, którzy — może po raz pierwszy w życiu — zrywają nagie i trząsają wieloletnią maskę, jaką narzuciło im kino, i mówią, uśmiechają się, szczerzają, prywatnie, do swoich wspomnień. A czasami nagie wybuchają płaczem. I ten ich zwyczaj, prywatny uśmiech, ten ich prywatny płacz — to jest wielkie zwycięstwo artystyczne twórców „Hollywoodu”.

M. D.

Dalekie od sztampy



Marek Grechuta

Foto: Paweł Karpiński

— W grudniu 1982 roku minęło 16 lat od pańskiego debiutu (w zespoie Anawa). Jak pan się czuje po tych 16 latach? — zwracam się do Marka Grechuty.

— Muszę panu powiedzieć, że dobrze. Choćby dlatego, że sztuka w którą zainwestowałem energię, wysiłek i głos, przyniosła mi wiele radości, uznania i przyjaciół. Do wody sympatii, z jakimi się spotkałem, są dla mnie ogromnie istotne, gdyż zaczynając śpiewać, marzyłem, aby ludzie przyjęli mnie z aprobatą. Uważam, że najlepsze biuro projektowe (z wykształcenia jestem architektem) nie dałoby mi tyle emocji i satysfakcji. W dorobku tych 16 lat zamyla się w zasadzie wszystko, o czym marzy piosenkarz. Proszę notować: 7 płyt długogrających, kilka singli, współudział w 10 innych albumach, 5 edycji płyt zachodnich, 3 nagrody na Krajowym Festiwalu Piosenki w Opolu, repertuar złożony ze 150 piosenek i blisko 2000 koncertów w kilkunastu krajach, od Chabarowska po Toronto. Do tego dochodzą spotkania z tysiącami ludzi, które cenią bardzo wysoko.

— Panie Marku, śpiewa pan przede wszystkim poezję. Skąd ten wybór?

— Do zainteresowania się poezją śpiewaną natchnęła mnie atmosfera Krakowa. Podczas studiów architektonicznych związałem się z kabaretem Anawa i hobby przestawiało się w zawod. Poezja na stałe weszła do mego życia. Jeszcze zresztą w liceum byłem wrażliwy na poetyckie słowo i to mi pozostało do dziś. W ciągu wielu lat estradowej przygody śpiewałem wiersze różnych poetów. Szczególnym sentymentem darzę utwory Józefa Czechowicza i Tadeusza Nowaka. Inspirują mnie one do wciąż nowych przedsięwzięć.

— Jak człowiek, zastuchany w delikatną, romantyczną muzykę, odbiera niebywałą rolę grup rockowych, wypełniającą programy radiowe i telewizyjne?

— Powiem panu, że się tym nie zajmuję. Najzupełniej obojętne są mi listy przebojów i ta cotygodniowa przepychanka. Bawiło mnie to, kiedy byłem młodszy i niesamowicie zależało mi na uzyskaniu aprobaty słuchaczy. Teraz, kiedy mam za sobą tyle doświadczeń, nie przeżywam nerwowo nieobecności w notowaniach najmocniejszych nagród. Uważam, iż dobra piosenka (a taką chce śpiewać) potrafi się sama przebić. Jeśli posiada interesującą melodię, jest w niej coś ładnego, ciekawego, i magicznego zarazem, to nie ma możliwości kompletnego jej zagłuszenia. Prędzej czy później trafi do adresatów. Sprawa głośności nie jest wcale najważniejsza.

— Nie obawia się pan czasem, że ta hałaśna muzyka zepchnie pana propozycje na margines estrady?

— Jestem najzupełniej spokojny i nie mam takich obaw. Oczywiście można by powiedzieć, że moje nastrojowe utwory nie mogą rywalizować z propozycjami Perfectu czy TSA i znajdują się gdzieś na peryferiach.

Warto jednak pamiętać, że te peryferie potrafią być intrygujące i dalekie od sztampy. Znam sporo ludzi szukających rzeczy niebanalnych, innych od produkcji masowej. Dla nich chcę śpiewać i myślę, że zawsze przyjdą na mój koncert.

— Od pewnego czasu środki masowej komunikacji, wyznaczające tempo i rytm naszej estrady, jakby o panu zapomniały. Mówi się nawet, że Grechuta zrezygnował z wyjazdów w tzw. trasy. Jak to wygląda naprawdę?

— W każdej płocie jest coś z prawdy. Zmęczyły mnie długie trasy koncertowe w wielkich salach, zgłęb i hałas. Chciałem trochę odpocząć i wybrałem kameralną wersję występów. Stworzyłem mały skład Anawy, złożony z absolwentów krakowskiego konserwatorium, i postanowiłem produkować się w małych salach, dla ludzi wrażliwych na poezję. Dzięki przychylności władz Krakowa udało mi się otworzyć własną „Płótnicę Pod Różą”, gdzie śpiewam dla wszystkich zmęczonych codzienną gonitwą. Z zadowoleniem przyjmuję fakt, że zawsze mam w płótnicy komplet gości.

— Czy to poezja skierowała pana do teatru?

— To, co robię, opiera się głównie na tekście, na słowach, które wymagają koncentracji, i na takich dźwiękach, które interpretują znaczenie słów. Właśnie fascynująca tekstem zbliżała mnie do teatru muzycznego. Pod wpływem rosnących ambicji wykonawczych, związanych z chęcią pełniejszej integracji poezji z muzyką, powstał zamiar zbudowania widowiska muzycznego w kategoriach teatralnych. Pierwszą sztuką była „Szalona lokomotywa” Witkacego wystawiona przez teatr STU. Pisałem doń muzykę i sam w niej występowałem. Później zaangażowałem się do spektaklu opartego na „Dziennikach” Gombrowicza. Wystawiał je kabaret Płótnicę Pod Baranami (nagrodzony złotym pucharem w Warszawie) oraz Łódzki Teatr im. Jaracza. W scenografii zamku w Dobnie brałem udział w spektaklu „Niebezpieczne związki” de Lactosa, przygotowanym przez teatr z Tarnowa. Pisałem też muzykę do „Otelii” dla teatru Ochota z Warszawy oraz telewizyjnego programu „Portret muzyczny Leśmiana”. Gorąco wspominałem oratorium oparte na poezji Tadeusza Nowaka. Takiej potęgi słowa, jak w tym spektaklu, jeszcze w moim repertuarze nie było.

— Co proponuje pan dziś słuchaczom?

— Mój program, jak wspominałem, ma nastrój kameralnego spotkania z sympatykami poezji. Wraz z Anawą przedstawiam w nim własne utwory pisane pod wpływem znanych obrazów, jak choćby „Kobieta niosąca chleb” Picassa, „Kawiarnia w nocy” Van Gogha, czy „Parasole” Renoir’a. Część piosenek powstała pod wpływem podróży i jest formą osobistych refleksji. Śpiewam też klasyki z mego dotychczasowego repertuaru, które w percepcji słuchacza są kluczem do pamięci o Marku Grechucie, jak choćby „Tango Anawa” czy „Krajobraz z wilgą i ludźmi”.

— Jak często odwiedza pan rodzinny Zamość?

— Niestety, dość rzadko. Ale niebawem wybiorę się tam z wystawą własnych prac malarskich, by w Ratuzu urządzić piątą swoją ekspozycję. Zdradzę przy okazji osobistą tajemnicę, że od paru lat zajmuję się na serio malowaniem. Każdą wolną chwilę poświęcam na tworzenie czegoś, co może przynieść ludziom radość. Maluję kwiaty, pejzaże i portrety. Po prostu śpiewałem, które kiedyś było moim hobby, przemieniło się w zawód, a przygotowanie zawodowe, czyli rysowanie, projektowanie, konstruowanie, stało się hobby. Dzięki temu mam już kilkadziesiąt obrazów. Do Zamościa czuję wciąż duży sentyment. Spędziłem w nim przecież dzieciństwo i młodość. Kraków, gdzie obecnie mieszkam i tworzę, stał się dla mnie drugim, nieco większym Zamościem. Atmosfera obu tych zabytkowych miast ma w sobie sporo uroku.

— Kiedy usłyszymy pana na nowej płycie?

— Myślę, że już wkrótce. Przygotowuję dla Polskich Nagród materiał złożony z „Obrazów śpiewających” wykonywanych na koncertach, muzyki do „Otelii” oraz dwóch wierszy Józefa Czechowicza. Wydaje mi się, iż nieszczęsny bogata i różnorodna w nastroje muzyka z tej płyty zadowoli wielu melomanów.

Rozmawiał: Istvan Grabowski

1	2	3	4	5	6		
	7	8		9			
10	11			12	13		
		14	15		16	17	
18			19	20		21	
	22						
23		24	25	26	27	28	
		29		30			
31	32				33	34	35
		36					
37				38			

POZIOMO: 1. rodzinna wyspa cesarza Francuzów, 4. brat Lili Wenedy, 7. pisarka polska, autorka książek o obozach koncentracyjnych, 10. sultanat na Półwyspie Arabskim, 13. biblijna łódź, 14. biblijny denar, 15. futro z tchórzofretek, 18. port rybacki i lotnisko nad Bałtykiem, 19. anglosaska miara powierzchni, 21. pisarz polski, którego pomnik stoi na rynku w Nowym Targu, 22. pisarz polski, którego komedję „Noc sylwestrowa” przypomnieli ostatnio telewizja, 23. muza poetów, 25. pierwiastek promieniotwórczy, 27. miasto uważane za jedno z najstarszych na Syberii, 29. góry w Ameryce, 30. amator soczewicy, 31. duch podziemia, 32. kręca się na nich koła, 36. poeta i historyk okresu Oświecenia, 37. znany polski reżyser filmowy, 38. ile je trzeba cenić ten tylko się dowie, kto je stracił.

PIKOWO: 1. wytwarza fajansę równie pięknie jak Włocławek, 2. po nocnej piśmie dźwięczny głos, 3. państwo afrykańskie, 4. odbija korektorskie kolumny, 5. szekspirowski tytułowy bohater, 6. jak się w tym roku ubrać, 8. katolickie koło parafialne, 9. stolica Egiptu, 11. jeden z wielu w dekoracjach Katedry Notre Dame, 13. wieszak, 15. męski głos, 17. nieduży współczesny okręt

wojenny, 20. łuk z korbą, 24. zapora, 25. poeta białoruski, tłumacz poezji polskiej, 26. koń, który obok włosów karych czy gładkich ma też siwe, 28. jadalny na drzewie, 31. wielki kamień, 32. rzeka w Mongolii i ZSRR, 34. bliźna po operacji, 35. jedno z Wielkich Jezior.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 15 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-250 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 5

Poziomo: korowaj, Balucki, Sagan, poncz, Sedan, czop, hale, szatnia, alycza, atlasy, kat, Dyl, Jasienica, oko, koc, Maskat, smardz, glukoza, Iran, Gorc, Nenni, arkan, efekt, sasanka, Rylejew.

Pikowo: Korczak, okop, asceza, jaz, bag, anemia, Utah, imbecyl, popyt, papad, Stoberski, szparag, Atacama, Latka, synod, omnibus, Osjan, Kreon, Czechowicz, tlenek, szorty, Nawa, gaje, Ila, akr.

Nagrodę wylosował: Marian Jedliczek, ul. Paganiniego 19/84, 20-854 Lublin.

Archiwum mistrzów anegdoty

H. G. Wells założył ze swym przyjacielem tygodnik „The New Review”, który szedł bardzo źle. Kiedyś, stojąc w oknie redakcji, zauważyli przejeżdżający karawan. Wells powiedział:

— Założę się, że to nasz prenumeratorka.

*

Shaw siedział kiedyś znużony na dobroczynnym koncercie, odbywającym się pod protektoratem wielkiej damy.

— Czy nie uważa pan — spytała go dama — że orkiestra brzmi wspaniale? Niech pan pomyśli, że ci ludzie przez jedenaście lat grają razem.

— Jedenaście lat — powtórzył pisarz — a ja myślałem, że my już dłużej tu siedzimy.

*

Znany poeta francuski, Verlaine, był w straszliwej nędzy, przy tym zupełnie nie dbał o swój wygląd zewnętrzny. Spotkawszy go na ulicy, jeden z jego znajomych dobrodusznie poradził:

— Przepraszam, ale mógłbyś sobie wyczyścić ubranie.

Verlaine odparł z rozdrażnieniem:

— Nie jestem kamerdynerem.

*

Reżyser praskiego teatru niemieckiego na próżno usiłował wykadyć ze statystek w czasie próby „Blagalinie” Eurypidesa odpowiednio żałosne tony. Wreszcie, poirytowany, zawołał:

— Musicie jęczeć, myślcie o swoich gałkach!

Wybrał: Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Erymuni Mańkowska, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Marianna Oblara.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-18. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 1, tel. 83-24. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PRWN w Lublinie, ul. Oleśka 4.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 755-83, sekretarz redakcji 118-93, dział publicystyki i literacki 175-43.

Korespondencje zwrócić prosimy kierować pod adresem: 20-250 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 polecony i zaopłacony — pod adresem redakcji.

CO JEST W TEJ PIŁCE?



Nareszcie w kadrze

PO przełomowym dla mojej pierwszoligowej kariery meczu z warszawską „Legią” stanąłem pewnie między słupkami „Słaska”. Uważałem wtedy, że tylko końmi można mnie stamtąd wyciągnąć, czyli że zająłem to miejsce na stałe i na długo. Po meczu tym zadebiutowałem również na łamach prasy w tym sensie, że jedna z gazet wrocławskich (bodaż „Wieczór Wrocławia”) zamieściła krótki, 54-wierszowy artykuł informacyjny pt. „Jak Tomaszewski został bramkarzem...”.

Już początek był miły sercu i zachęcający: Bramkarz Śląska Jan Tomaszewski został uznany przez sprawozdawców Warszawy i Katowic (a wiadomo, że są tam najtęższe piłkarskie pióra!) za wielkie odkrycie ostatnich meczów ligowych. W materiale tym znalazły się także dwa zadane mi pytania no i oczywiście odpowiedzi. Mówiłem wtedy m.in. Wiem, że coś z tego będzie. Na treningu pot leże się ze mnie ciurkiem, a mimo to ćwiczę z pełnym natężeniem. Mała rzecz. Może bez specjalnego dziś znaczenia. Uwierzyć jednak proszę, że przez długi czas była dla mnie ważna nie mniej niż udane interwencje. Czytałem tę notatkę wielokrotnie, nosiłem przy sobie, a w końcu wkleiłem do specjalnego zeszytu, jaki prowadzą wszyscy niemal zawodnicy. I jest tam do dziś.

Zaczęliśmy trochę sentymentalnie, ale teraz już do konkretów. Po bardzo dobrym meczu w stolicy następnym graliśmy u siebie z „Polonią” Bytom, w której występowałi wówczas tacy gracze jak: Banaś, Liberdta, Winkler, Anczok, czy mój vis a vis i ol. Dla wielu osób, przede wszystkim dla kibiców wrocławskich, interesujące było na ile Tomaszewski potwierdził dobre recenzje. Nie ukrywam, że i dla mnie występ na Stadionie Olimpijskim był bardzo ważny. Nadziei nie zawiodłem, broniąc pewnie, w tym potężną bombę Banasia z wolnego i w sytuacji sam na sam tuż przed końcem meczu (atakował Jakubczak). Po spotkaniu prasa napisała że Tomaszewski na dłuższy czas zluźował Masełgo.

Do kolejnego meczu z „Górnikiem” Zabrze przystępowałem już z pewnością siebie i wiarą, że potrafię się wykazać nie gorzej niż z warszawskimi wojakami. Czym był wówczas „Górnik”, nie trzeba chyba szerzej wyjaśniać. Był to okres najlepszej gry tej drużyny, a występował w niej: Gomola w bramce, Osłizło i Gorgoń w obronie, Wilczek i Skoltyś w pomocy i atak z Lubańskim i Skowronkiem (trafił tam zresztą z naszego klubu i od razu rozwinął skrzydła). Mecz graliśmy 9 września 68 roku, a dwa dni wcześniej Włodek Lubański ożenił się i na stadion przybył wraz z... weselnikami. Było przy tym trochę „artów” na temat jego dyspozycji, ale wszelkie „podejrzania” okazały się na wyrost. Niestety dla nas zresztą... Włodek grał znakomity mecz. Zaczęło się w 20 minucie. Przeciwnicy bili kornier. Cały czas starałem się uważać na Lubańskiego. Rzeczywiście Włodek poszedł do przodu i koncentrując na sobie uwagę, stworzył dogodną sytuację Skowronkowi, który głową z 3-4 metrów wpakował piłkę do bramki. Tu się trochę spóźniłem. Dwadzieścia minut później Włodek otrzymał piłkę w środku naszej połowy, podciągnął dziesięć metrów i strzelił fałszem. Piłkę odbiłem, ale za słabo, i ponownie Skowronek nie miał kłopotu ze strzeleniem gola. Tym razem do pustej bramki. W 43 minucie w zamieszaniu podbramkowym Wilczek sprytnie wrzucił piłkę obok obrońcy i mnie do statki. Takiego obrotu sprawy nie spodziewałem się ani ja, ani koleźcy, którzy tyrali na boisku i parokrotnie byli bliżej strzelenia gola. Niestety Gomola brosił tego dnia wszystko, a ja niestety łapałem zupełnie bez furtki. Na koniec dobił mnie jeszcze sam Włodek strzałem z osiemnastu metrów w samo okienko, pięknym fałszem. W szatni czulem się fatalnie i jak najprędzej chciałem z niej wyjść. Te cztery bramki pokazały mi, że jeszcze czeka mnie praca, i znacznie obniżyły wyobrażenie o samym sobie. Zimny prysznic, ale bardzo potrzebny.

Przy okazji lania w Zabrzu chciałbym zwrócić uwagę na problem tzw. ogólnej mądrości piłkarskiej, której zawsze ucieleśnieniem był dla mnie Włodek Lubański. W meczu ze „Słaskiem” nie przemyczał się absolutnie, sprawiał wrażenie rozleniwionego, ociężałego. Kiedy jednak ruszał z piłką podawał, czy wykonywał zwód, cała ta senność gdzieś znikła i przeciwnik musiał mieć się na baczność, o ile nie był już wpuszczony w maliny. Przekonałem się o tym aż za dobrze. Bowiem właśnie tej mądrosi zawdzięczam trzy puszczane bramki. To potrafią tylko najwielki piłkarze i tylko

ci mogą sobie pozwolić na taką pozorną nonszalancję i luz. A chciałbym przypomnieć, że Włodek był wówczas (i jest moim rówieśnikiem). Dystans lednak, jaki nas wtedy dzielił, w hierarchii dorobku piłkarskiego był ogromny... Wspominam o tym, bo Włodek od początku był i pozostanie dla mnie wzorem i ideałem piłkarza. Po zabrskich batach marzyłem o tym, żeby kiedyś zagrać z nim razem w jednej drużynie. Co się po latach spełniło.

Skoncentrowałem się na tych pierwszych meczach ligowych, bo przynosiły mi one wszystko, co może czekać bramkarza: nadzieje na występ w bramce, dobry debiut, znakomity mecz, potwierdzenie formy w następnym i dotkliwą porażkę w kolejnym. Wszystko na przeszczeni kilku tygodni.



Opowiedz mi tato...

Foto: Cezary Krupa

Od meczu z „Górnikiem” wyraźnie nam nie szło. Traciliśmy punkt za punktem. Szczególnie przykre były porażki u siebie. Dostał się kolejno z „Zagłębiem” Wałbrzych (0:1) i z „Wisłą” Kraków (2:3). I przy tym meczu chwilę się zatrzymałem. Do 80 minut prowadziliśmy 1:0. Wtedy właśnie Adamus głową, po chytrym dosrodkowaniu, nie dał mi żadnych szans obrony. Wznowiliśmy od środka i od razu stracili piłkę. Poszła szybka kontra, obrona trochę zaspalała i Studniński nie miał kłopotu, aby podwyższyć wynik. Próbowaliśmy bronić, ale bezskutecznie. Wszystko to stało się w ciągu minuty. Przez następnych pięć minut wślizgi nie schodzili z naszej połowy. Kociol był straszny, a ja uwalniałem się bez wytchnienia. W 82 minucie „Wisła” (Hausner) strzeliła trzeciego gola i było w zasadzie po zawodach... Zrezygnowaliśmy się tylko jednym trafieniem Tokarza. Po tym meczu znaleźliśmy się w sytuacji wręcz fatalnej. Zamykaliśmy tabelę z 8 punktami zdobytymi w 13 meczach. Udało nam się wygrać tylko jedno spotkanie — z ROW Rybnik (2:0). Sytuacja była oceniana tak kiepsko, że kibice w zasadzie pogodzili się ze spadkiem, odeszli trener Glowacki, a jego miejsce zajął Artur Woźniak, szkoleniowiec z dwudziestoletnim stażem.

Po zakończeniu rundy miałem trochę czasu na myślenie i wypadło ono dla mnie bardzo, że tak powiem, niejednoznacznie. No bo niby wszedłem do drużyny pierwszoligowej (+), wygrałem rywalizację o miejsce w bramce (+), udanie zadebiutowałem (+). Ale z drugiej strony obok bardzo dobrych trafień się mecze gorsze (-), brakowało mi odporności psychicznej (-), drużyna spadła na dno ekstraklasy (-). Rozważałem to wszystko, główkowałem. Doszedłem do wniosku, że kolejny plus to mój młody wiek piłkarski i bardzo młody jak na bramkarza. A następny atut to... udany debiut w reprezentacji młodzieżowej, czyli Orleńtach.

Było to tak. W początku października 1968 r. trener Kazimierz Górski, który zapamiętał mnie z Łazienkowskiej, powiadomił klub, że powołuje mnie na mecz z NRD w dniu 20 października, w Lublinie. Było to tuż po laniu w

Zabrzu. Nie powiem, że była to nominacja dla mnie nieoczekiwana, zaskakująca, bo faktycznie spodziewałem się, że zagram. Co innego jednak spodziewać się, przeczuwać, a co innego wiedzieć na sto procent. Kiedy się dowiedziałem, pobiegłem do domu jak na skrzydłach i od razu z drzwi zacząłem oznajmiać o tym domownikom. Matka była bardzo szczęśliwa. Ojciec, jak zwykle, powściągliwy, surowy i zasadniczy. Cieszył się na swój sposób, ale nie byłby sobą, gdyby dał to poznać po sobie.

Mecz lubelski poprzedziło pięciodniowe zgrupowanie w Kraśniku. Trener Górski dobrze czuł się na Lubelszczyźnie, znał tutejszych działaczy, szkoleniowców. Sam kiedyś prowadził „Lubliniankę” i stąd pewnie ten sentyment. Dość, że w Kraśniku mieliśmy stworzone naprawdę dobre warunki. Byliśmy gośćmi miejscowej „Stali”. Jej działacze starali się, aby nasz pobyt wypadł jak najlepiej, bo, zdaje się, niezbyt często reprezentacje zawiązywały do tego miasta. Rozegraliśmy nawet sparing ze „Stalą”, wygrywając 4:1. Innym przejawem sympatii Kazimierza Górskiego dla Lublina była obecność w kadrze Ryszarda Brysiaka z „Motora”, ówczesnego ulubieńca lubelskich kibiców.

Z Niemcami graliśmy na stadionie „Lublinianki” o godzinie 14-tej. Warto chyba wspomnieć, że rozpoczęliśmy w składzie: Tomaszewski — Drobny Wyrobek Gorgoń. Rudnow — Brysiak Deja. Kasztelan — Kozerski, Biernacki, Gapiński. Tego ostatniego zmienił Kowalczyk, a ostatni kwadrans za Kasztelana grał Janik. Zbytecznym wydaje się przypomnienie, że wielu z tych chłopaków znalazło w naszym futbolu bardzo wysoko. Najwyżej chyba para stoperów Gorgoń —

eharski Michałk (obrońcy); Bala, Deja, Janik, Stachura, Szymczak (pomocnicy) oraz Biernacki, Kozerski, Pawlik, Rother (napastnicy). Pierwszą reprezentacją lecącą w tym samym czasie (a na dłuższą za ocean, do Ameryki Południowej). Wyruszyliśmy 4 grudnia w przygotach i trwającej do samego odjazdu niepewności. Nasz przyjazd uzgodniono wcześniej z irackim związkiem piłkarskim, ale w międzyczasie nastąpiła tam zmiana rządu i wszystkie kontakty sportowe uległy zawieszeniu, podobnie zresztą jak i wszystkie związki sportowe w tym kraju. Cały sport podporządkowano, poki co, ministerstwu młodzieży. Dopiero po interwencjach ambasadora PRL p. Stanisława Turbańskiego minister zgodził się w drodze wyjątku wpuścić nas do Iraku, ale zalecił specjalną nad nami opiekę. Tak więc ostatecznie wyjazdowaliśmy w Bagdadzie.

Pierwszy mecz graliśmy z reprezentacją armii irackiej. Wygraliśmy 3:0, po naprawdę bardzo ładnej grze. Bronielem w drugiej połowie meczu. Bramki strzelił Bala i Stachura. Cały czas mieliśmy wyraźną przewagę i jeżeli chodzi o mnie, specjalnie się nie napracowałem. W drugim spotkaniu, z iracką policją, bronielem od początku. Tu już kilkakrotnie musiałem się pokazać. W 87 minucie obroniłem nawet karnego. Niestety w ostatniej minucie przy stanie 1:0 dla nas (po strzałach Kozerskiego sędzia podktykował rzut wolny pośredni z 8 metrów i policjantom udało się strzelić honorowego gola. Bardziej się tego zresztą cieszyli. Na koniec wygraliśmy 1:0 z reprezentacją Zjednoczonej Republiki Arabskiej, która przyjechała do Bagdadu specjalnie na mecz z nami.

W sumie wyjazd był bardzo udany, zarówno sportowo, jak i turystycznie. Sportowo, bo była to pierwsza wyprawa polskich piłkarzy do Iraku i stworzyła możliwość dalszych kontaktów, a ponadto mogliśmy się spotkać z innym stylem gry niż na naszych boiskach. Turystycznie, co sobie wtedy cenilem nadzwyczajnie, dlatego że mogliśmy zobaczyć świat znany dotąd z książek. Zwiedzaliśmy Babilon, widzieliśmy Tygrysa i Eufrat, oglądaliśmy zabytki Bagdadu. Poza tym mieliśmy krótkie postoje w Libanie, Grecji i Szwajcarii, które również staraliśmy się wykorzystywać turystycznie. Zupełnie oczarowała mnie Genewa, w której mogłem podziwiać nie tylko wyjątkowy ład architektoniczny, ale i sterylną czystość, schludność i estetykę. W sumie miałem co opowiadać kolegom, znajomym, rodzinie, no i było na co podrywać dziewczyny...

Przy okazji tego tournée chciałbym zwrócić uwagę na obecność w kadrze m.in. gwardystów Michałika i Szymczaka, którzy nie dalej jak rok temu wyśmiewali się ze mnie w Jeleniej Górze, pytając kolegów z drużyny „Słaska”, skąd wytrzasnęli takiego „drewniaka”. Nie omieszkałem im tego delikatnie przypomnieć.

A w ogóle fakt powołania do kadry na dłuższy wyjazd był dla mnie wyjątkową okazją do zaaklimatyzowania się w tej społeczności. Zdawałem sobie sprawę, że byłem w tym towarzystwie najmłodszy stażem, gry (bo wiekiem młodszy był chyba Wyrobek) i siedziałem cicho. Nie zabierałem głosu, tylko słuchałem starych wyjadaczy: Grotyńskiego, Rothera, Michałika, Stachury. Znali oni dobrze przeróżne mowy piłkarskie i tak między sobą nawijali, a ja tylko lykałem tę kulturę. Poza tym byli to bywalcy, którzy niejednemu kraj widzieli, a ja byłem ten, którego przywieźli z Wrocławia w salacie. W sumie mi to siedzenie cicho tylko na dobre wyszło. Chłopaki szybko nabierali do mnie zaufania i dopuszczali do swojego towarzystwa. Był to też pewien sukces zawodowy.

Żeby już zakończyć 1968 rok, powiem tylko, że trener Górski ocenił moją grę w młodzieżówce wysoko, wyrażając nawet zadowolenie, że taki mu się trafił. Natomiast „Faja” Koncewicz, selekcjoner i reprezentacji, mówiąc o drużynie na mistrzostwa świata '70, powiedział, że w bramce kandydatem numer 1 jest Hubert Kostka, na drugą lokatę wysuwa się Włodek Grotyński, który nie miał dotąd szczęścia w sprawdzianach międzynarodowych, oraz że „wiele nadziei pokłada się w młodym, utalentowanym i dysponującym świetnymi warunkami fizycznymi Janie Tomaszewskim”. Dosłownie tak! Oczywiście wycinek z tymi słowami powędrował do mego zeszytu, a ja miałem kolejną satysfakcję, że trener kadry narodowej zaczyna zmieniać zdanie o „drewniaku” z Wrocławia.

(cdn)

Do druku przygotował:

Waldemar Piasecki